Rok XII. # TYGODNIK KATOLICKI. Rok XII.

№ 16. Grodzisk, 22. kwietnia 1871. № 16.

Tygodnik katolicki wychodzi co **Sobotę**. **Prenumerata** ćwierćrocznie wynosi: 1) **na pocztach pruskich** 1 tal. 20 sgr, 2) w **Galicyi** 3 fl. 3) w **Król. Polsk**. 2 ruble. 4) We **Włoszech** 2 tal. 5) We **Francyi** 2 tal. 5 sgr. 6) W **Turcyi** 2 tal. 10 sgr. 7) W **Ameryce** 2 tal. 15 sgr. 8) W **Australii** 2 tal. 20 sgr.
Listy z zagranicy adresować należy do **Poznania** (**Posen**, Grand Duché de Posen). — Redakcya przyjmuje tylko **frankowane** listy, reklamacye i korespondencye. Rękopisy nie zwracają się (tylko na uprzednie żądanie) i ulegają zniszczeniu.

Deum qui proposito tuo favit hactenus, rogamus, ut potiora semper et uberiora eidem incrementa largiatur in sui nominis gloriam et gentis tuae utilitatem. (List Ojca św. Piusa IX. do Redaktora Tygodnika katolickiego.)

— W num. 4. *Dziennika urzędowego kościelnego* z dnia 15. kwietnia znajdujemy następujące rozporządzenie Najprz. ks. Prymasa:

Ś. p. Poprzednik Nasz, X. Arcybiskup Przyłuski, rozporządzeniem z dnia 29. Stycznia 1863. r. zakazał Duchowieństwu Archidyecezalnemu podawać do pism publicznych bez poprzedniéj swojéj aprobacyi wszelkich obwieszczeń, któreby zakres zwyczajnych administracyjnych uwiadomień przechodziły.

W ostatnich czasach poważyli się niektórzy kapłani, na powyższe rozporządzenie i na świętość swego powołania niebaczni, jakkolwiek dzięki Bogu w małéj liczbie, ogłaszać, i to w piśmie nie rządzącém się duchem katolickim, bądź obwieszczenia, bądź artykuły, które zarówno winnemu Zwierzchności Duchownéj uszanowaniu, jak sianiem rozterek między współbracią, miłości chrześciańskiéj i przynależnemu zacnym kapłanom szacunkowi ubliżały, a tém samém obałamucały umysły i serca wiernych. Zmuszeni już nawet byliśmy poskromić kościelnemi karami najzuchwalsze jednego kapłana wystąpienie.

Aby zaś na przyszłość i sobie i Duchownym oszczędzić téj bolesnéj ostateczności, i złemu zapobiedz, zanim większe przybierze rozmiary, przypominamy niniejszem Duchowieństwu Archidyecezalnemu wyżéj wzmiankowane rozporządzenie Arcybiskupie z dnia 29. Stycznia 1863. r., ponawiamy je, i zgodnie z przepisami powszechnego prawa kościelnego zakazujemy Duchownym pod zagrożeniem odpowiedniéj kary, ogłaszać drukiem bez Naszego lub Konsystorzy Naszych pozwolenia, jakichkolwiekbądź obwieszczeń, odezw lub artykułów, z wyjątkiem tych, które w rozporządzeniu z r. 1863. są uznane za dozwolone.

Poznań dnia 3. Kwietnia 1871.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański.
Mieczysław.

X. Maryański.

O Papieżu.*)

Nauka druga
Ks. Piotra Semenenki.

O Papieżu, jako podwalinie wiary,
to jest o jego
Nieomylności.

Ja zaś prosiłem za Tobą, aby nie ustawała wiara twoja, a ty raz nawrócony potwierdzaj braci twoich. (Łuk XXII. 32.)

Widzieliśmy z łaski Bożéj jednym ogólnym rzutem oka, co to jest Piotr w Kościele: że jest w nim podwaliną wszystkiego; a mianowicie tego potrójnego życia, z którego się składa cały Kościoła żywot: podwaliną wiary, podwaliną nadziei, podwaliną miłości.

Lecz nie dość ogólnego takiego obrazu. I wiara, i nadzieja, i miłość, pragną, że tak rzekę, każda z osobna, oprzeć się jak można najlepiéj na tém dnie swojém, by tam były bezpieczniejsze o swój byt i siłę; i póty spocząć nie mogą, aż póki się rzeczywiście o to dno swoje nie oprą. Idźmyż za niemi, albowiem i nam o to chodzić powinno, byśmy się razem z niemi oparli o ostatnią podstawę życia, już niewzruszoną i na zawsze nietykalną.

Pójdziemy dzisiaj za wiarą. Całe nasze życie duchowe opiera się na wierze; ona jest wewnetrzną podstawą ludzkiego życia. Ale ona sama oprzeć się musi na innéj podstawie, bez któréj byłaby zawieszoną w powietrzu; więc się opiera na Piotrze. Zda się, że mówi do niego, powtarzając za Chrystusem: *Tu es Petrus!* Ty jesteś Piotr, opoka, fundament; ale przedewszystkiém mój fundament, fundament wiary!

Tym tylko sposobem żyć może wiara stojąc na swym

*) Czytelnicy nasi z radością powitają dalszy ciąg nauk O. Piotra Semenenki o Papieżu. Roku zeszłego podaliśmy naukę pierwszą, niniejszym rozpoczynamy drugą, za którą pójdą trzecia i czwarta. Wszystkie cztery (z tych pierwsza zupełnie przerobiona) wyjdą osobno i stanowić będą obszerną książkę. Nauki w tak ważnéj sprawie i takiego myśliciela katolickiego, jakim jest O. Piotr, zwrócą niezawodnie baczną na siebie uwagę. *Red. Tyg. kat.*

gruncie prawdziwym, na pewności i nieomylności gruncie. Kiedy raz to się z wiarą stanie, wtedy pospiesza tam za nią i wiedza. Ta ostatnia zbyt często w rozłące z pierwszą, błąka się samotnie, a zwykle dla tego, że i wiara zbyt często nie stoi na swéj prawdziwéj podwalinie. Dopiero kiedy u stóp Piotrowych wiara usiądzie i raz mu rzeknie: Tyś nieomylny! wtedy dopiero i wiedza usiąść może u stóp wiary i rzec do niéj bezpiecznie: Teraześ i ty nieomylna! Teraz i ja nią być mogę!

Szczęśliwa chwila! Szczęśliwy grunt życia w niéj znaleziony! Szczęśliwa ta nieomylność, na któréj jednéj umysł ludzki może oprzeć swoje bezpieczeństwo i życie. Umysł bowiem żyje prawdą, a prawdę daje mu wiedza lub wiara; lecz odejmij nieomylność jednéj lub drugiéj, a wnet to co one dają, już prawdą nie będzie, choćby to nawet i było prawdą, i umysł już żyć tém nie może. Takąto konieczną dla prawdy jest rzeczą: być nieomylną!

Lecz skądże jéj nieomylność? Ani wiedza, ani wiara same ze siebie dać jéj prawdzie nie mogą, a przynajmniéj dać nie mogą jéj ostatniéj podstawy. Wiedza jasno z razu w zewnętrznych pojawach widząca, coraz mniéj widzi, im głębiéj w dno się rzeczy zacieka; nareszcie nic nie widzi i musi przypuścić Boga; o Bogu zaś tylko jedna wiara może jéj dać wiedzieć z pewnością: i tym sposobem wiara musi dać wiedzy ostatnią podstawę jéj nieomylności. Lecz wiara ze swéj strony nie ma jéj także w sobie. Błąka się i ona po wszystkich rozdrożach sama sobie zostawiona, i dla tego to widzimy na świecie tyle wiar rozmaitych. Dopiero kiedy stanie na tym gruncie Bożym, dopiero kiedy się oprze na podwalinie Piotrowéj, wtedy dopiero wiara zyskuje nieomylność. Więc tu ją chcemy widzieć. Tu dopiero wszystko się stanie nieomylném, i wiara ze swéj strony i za nią ze swéj strony i po swojemu wiedza. Tu u stóp Piotrowych dzieje się to cudo!

Na to widowisko, da Bóg, będziemy dzisiaj razem patrzyli.

I.

Prawda, powiedziałem, z jednéj strony, z drugiéj strony wiara i wiedza: oto całe jedno życie człowieka.

Prawda, Prawda! A gdzie ona? co ona? kto ona? To pytanie rodzaju ludzkiego! Jeżeli na co, tedy na nie trzeba odpowiedzi. Odpowiada Chrystus Pan: *Ja jestem prawda.* (Jan XIV. 6.)

Jużeśmy przeszłą razą słyszeli to zatwierdzenie Chrystusa, aleśmy je słyszeli w połączeniu z innymi, kiedy o sobie zarazem twierdził: *Ja jestem droga, ja żywot.* Widzieliśmy i zrozumieli w tém potrójném twierdzeniu podstawę całego, jednolitego zarazem i troistego życia człowieka. Dzisiaj mamy się zastanowić nad pierwszém z tego trojga życiem ludzkiém, nad życiem rozumu. Więc się w szczególności zastanowimy nad tém pierwszém twierdzeniem Chrystusa, które jest jego podstawą osobną: *Ja jestem prawda!*

Tylko jedne usta ten głos wydały, jeden tylko człowiek to powiedział. Nikt przed nim nigdy nic podobnego nie wyrzekł; nikt zarówno ani po nim, co daleko dziwniejsza, nie wyrzekł nic podobnego. Jedyny jest człowiek i jedyny głos taki w historyi. Wiemy, że kiedyś na końcu przyjdzie inny człowiek, przeciwny temu: człowiek grzechu, *homo peccati* (II. Tessal. II. 3), ostatni zaprzeczyciel i bluźnierca Boga. Ten zapewne to samo o sobie powie; ale to już nikogo nie zdziwi. Czemu się owszém dziwić wypadnie, tedy temu, że tak długich wieków potrzeba było, i że musiały przyjść aż końcowe czasy, by się grzéch mógł zdobyć na odwagę ostatniego szału i najwyższego bluźnierstwa. Dotychczas atoli nie zdobył się. Uszanujmy rozum ludzki: to jego zasługa, że duma człowieka chociaż szalona, jeszcze się lęka sądów rozumu, i cofa się przed jego śmiechem lub politowaniem.

Rzecz godna zastanowienia: sama ona stara pierwsza pokusa, która rzekła: Słuchaj człowieku: Bogiem będziesz! nie powiedziała mu jednak: będziesz tém, czém jest Bóg, będziesz dobrem, będziesz prawdą! Owszém, dosyć rozsądna, kiedy zuchwałością przekraczała granice sumienia, ostateczną przesadą nie przekroczyła granic rozumu. Rzekłszy dumnie: będziecie jako Bogowie! dodała dość skromnie: wiedzący, *wiedzący tylko* dobre i złe, prawdę i fałsz. Ach, czemuż złośnica nie powiedziała wszystkiego? miasto usłuchać, wzdy człowiek byłby może wtedy zaśmiał się nad nią i odprawił z politowaniem. A teraz musi odpłacać karę za jéj podstęp zdradziecki i za złowioną przezeń przynajmniéj połowę swojego rozumu!

I to także rzecz godna zastanowienia, że ta połowa ocalona rozumu wystarczyła, aby dotąd bronić rodzaj ludzki od ostatecznych szaleństw. Bogiem człowiek często się nazywał; ale prawdą i tém wszystkiém czém jest Bóg nie nazywał się nigdy. Tu, w tym Rzymie, w którym wszystkie stare błędy runęły o ziemię i położyły się w prochu, aby służyć za podnóżek prawdzie; śród tych zwalisk wywróconego bezrozumu możemy spotkać jeszcze tu i owdzie jego pomników sterczące czoła, i czytać na nich godne jego szaleństwa głoski: *Divo* albo *Deo Augusto; Divae* albo *Deae Faustinae;* ale nigdzie *Augusto Summo Bono! Faustinae primae Veritati!* Rzecz jasna. Owa połowa ocalonego rozumu u samego takiego Augusta albo u takiéj Augustyny, w głosby zawołała: To chyba się śmieją z ciebie!

Przetoż nikomu do głowy to nie przyszło. Przeciwnie, wszystko zupełnie miało się inaczéj. Taki Cezar na swojéj stolicy wierzył wprawdzie, bo mu kazali lub pozwolili wierzyć, wierzył, że jest bogiem, i następnie bogiem się mianował; ale by miał być sam prawdą, zaiste, w to nie wierzył; owszém, on w samą prawdę nie wierzył, wątpił nawet, żeby gdziekolwiek była na świecie, przy nadanéj sposobności śmiał się z niéj misternie; a kiedy mu się raz zdarzyło, że się spotkał z nią, spotkał twarz w twarz, oko w oko, — było to w Jerozolimie, kiedy się Piłat spotkał z Jezusem, — i kiedy sama prawda powiedziała, że ona jest prawdą, spojrzał jéj w oczy z politowaniem, wzruszył ramionami i rzekł uśmiechając się: A co to jest prawda? I odwrócił się i precz odszedł. — Cezarze! dobrześ zrobił: pokazałeś doskonale jakim ty jesteś bogiem! Tyś nawet wtedy coś lepszego zrobił: pokazałeś zarazem jakim Bogiem jest Chrystus.

Ha, co za różnica! Chrystus nie wzrusza ramionami, nie śmieje się z prawdy; Chrystus na świadectwo prawdzie krew swoję przelewa: *„Ja na to przyszedłem, abym świadectwo złożył prawdzie."* (Jan XVIII. 37.) A tą prawdą, któréj na świadectwo krew swoję daje, jest Onże sam: *Ja jestem prawda!* A to Ja, które o sobie mówi, że jest prawdą, jakże przez to samo twierdzi o sobie najwymowniéj, że jest Bogiem, i dowodzi zarazem, że nim jest. Gdyby się był wprost zatwierdził Bogiem, uczyniłby to co i Cezar, a wtedy tyleby mu to pomogło, co i tamtemu. O Chryste Panie, ty inaczéj czynisz. Ty ludziom zostawiasz nazywać się w szale swoim bogami, zostawiasz im czcze imię; sobie zostawiasz rzecz samą bóztwa, i imię rzeczy. Jak się spotkacie, człowiek i Ty, Panie! powiecie tylko sobie swoje imiona; a wnet człowiek choćby się odział we wszystkie szaty bóztwa, musi zstąpić do nicestwa, a Ty choćbyś nosił

na sobie wszystkie pozory nicestwa, musisz być uznany i uczczony za Boga!

Ja jestem prawda! Coraz lepiéj rozumiem co ten głos znaczy. W nim całe źródło życia i całe życie człowieka, ta strona przynajmniéj, którą rozum żyje, a która jest życia całego koniecznym warunkiem i niezbędną podstawą. Bez prawdy nie ma ani wiary ani wiedzy; bez wiedzy i wiary nie ma życia rozumu; więc życia całego nie ma, gdzie nie ma prawdy. Więc życie, więc rozum wyciąga oba swoje ramiona, stąd wiedzę, stamtąd wiarę; wyciąga jak najszerzéj, by powitać i objąć prawdę jak najpełniéj, by Ciebie powitać i uścisnąć, o Chryste Panie!

Nie byle też jaka prawda może być objęta temi silnemi ramionami. One zanadto rzeczywiste, zanadto potężne, by w ich uściskach mógł się ostać cień jaki lub widmo rzeczy. Nie, nie ostoji się. Każdego takiego widziadła prawdy ledwie się dotknie wiara lub wiedza i zacznie je macać, już ono znika i śladu nie zostawia. A jak zniknie, i wiara i wiedza mówią do siebie: Czyż to była prawda? I im więcéj takich widziadeł z ręku im pierzcha, tém pilniéj się pytają: A gdzież prawda? I jak ostatnie ich zawiedzie, cóż dziwnego, że im przychodzi wreszcie na usta uśmiech rozpaczy i ten głos jéj niepocieszny: A co to jest prawda?

W takim, niestety, rozpaczliwym stanie znalazła się mądrość starożytna, w takim się spostrzegł onego czasu stargany rozum ludzki wiekowemi zawodami. Nie pomógł mu w téj ciężkiéj potrzebie ani sam zdrowy rozsądek. Na zdrowy rozsądek znaleziono tarany, które na końcu potłukły wszystkie jego warowne mury. Przypominamy one dobrze: nazywały się akademie. W nich od rana do wieczora dysputowano *za* i *przeciw*. Biedny zdrowy rozsądek schronił się jeszcze na czas jakiś do Rzymu i tu długo się bronił, w téj swojéj ostatniéj twierdzy. Lecz w końcu i tu uległ; sofiści Rzym zalali, a za nim cały świat; i sofizmata akademickie, jak owe chude krowy Faraona zjadły na końcu ostatnie tłuste cielce zdrowego rozsądku i prostego zmysłu, i zostawiły po sobie swój własny szkielet za cały dobytek. Był to głód śmierci, i rozpacz rozumu, rozpacz na około, wciąż wołająca: nie ma, nie ma prawdy! A nadzieja śród téj ciemnéj nocy tylko gdzie niegdzie przedzierała się promykiem, i przypominając sny Sokratesa, z nim jedno i to samo mówiła: Tu nie ma ratunku; trzeba, żeby Bóg zstąpił z nieba, i nauczył nas prawdy!

I oto właśnie, w téj najcięższéj chwili, kiedy słońce było najdaléj, kiedy zimno było najsroższe, kiedy noc była najgrubsza, zstępuje ta gwiazda na ziemię, i śród wesela Aniołów, śród radości ludzi, staje i mówi do nich: Oto jestem: Ja, prawda! I do tego Tomasza niewiernego, do tego ludzkiego rodzaju, który już był zwątpił o prawdzie, woła litościwie: Chodźcie wszyscy, patrzcie, jam nie cień i mara, widmo nie ma ciała i kości jak ja je mam. Dotykajcie się i patrzcie dobrze: *Ja jestem prawda.*

Teraz rozumiem co ten głos znaczy: *Ja jestem prawda.* To ten Bóg, który zstąpił z nieba, to prawda sama, odwieczna, wiekuista, istotna, żywa, osobista. Poznaję po jéj głosie: *Ja jestem prawda!* Ona jedna mogła to była powiedzieć. Po co mi innych dowodów, ten mi starczy za wszystkie. Albowiem jeśli tylko Bóg doprawdy zstąpił na ziemię, tak się powinien był zatwierdzić; z drugiéj strony nikt się tak nie zatwierdził, krom tego jednego. Tego mi dosyć. Piłacie! po co się odwracasz tak prędko i odchodzisz tak niebacznie? Gdybyś był został chwilkę jeszcze, spojrzał lepiéj, dotknął się palcem jednym, a z Tomaszem byłbyś do nóg upadł temu, który się tak zatwierdził i zawołał szczęśliwy: Tyś Bóg mój i Pan mój! Tak, Tyś prawda! Nie ma innéj.

Teraz, nim daléj pójdę, proszę was, drodzy moji, wybaczyć mi, żem tu się znowu na wstępie zatrzymał nad tém zatwierdzeniem. Atoli to zatwierdzenie się Chrystusa Pana jest podstawą wszystkiego, a nie dosyć jest cenione, jak i inne podobne jemu. Przywykliśmy do nich, i one nam spowszedniały. Wybaczcie mi tedy, żem je odświeżył; tu zaś tém słuszniéj, że ono jest konieczną podstawą dalszego naszego rozumowania. Idźmyż tedy daléj.

Ja jestem prawda. Więc już ją mamy. Ale czém ona jest? o tém długa byłaby mowa; nie tu miejsce na to, ani czas po temu. Zresztą, każdy z nas stworzony dla prawdy i nosi w głębi istoty swojéj wszystkie potrzeby i warunki, którym prawda ma odpowiedzieć; każdy tém samém wie z góry czém musi być prawda. Krótko tedy odpowiem z Chrystusem samym, kiedy na innem miejscu podobnież o sobie powiedział: *Ego sum lux mundi* (Joan VIII, 12. IX, 5.) Ja jestem światło świata! a Faryzeusze wołali: Ty sam o sobie świadectwo dajesz? więc krótko odpowiem, co on sam wtedy odpowiedział: *Ja wiem*, prawi, *skąd przychodzę, i wiem dokąd idę*, (Jan VIII, 14) *i kto idzie za mną, nie idzie w ciemnościach* (Jan VIII, 12). Oto czém jest prawda: potrzeba tych trzech rzeczy, aby była cała. Naprzód powinniśmy wiedzieć nasz początek i cały powód istnienia naszego: *Wiem skąd przychodzę*; — następnie cel i ostatnie przeznaczenie: *wiem dokąd idę*; — a nareszcie drogę i jéj środki i warunki: *kto idzie za mną, nie idzie w ciemnościach.* Ta jest prawda cała i to wszystko daje nam Chrystus, i dla tego tą prawdą jest Chrystus. *Ja jestem prawda.*

A więc już ją mamy, już mieszka pośrodku nas. Wyciągnijmyż do niéj ramiona i naszéj wiary i naszéj wiedzy, obejmijmy ją oburącz, i przytuliwszy ją do łona rozumu powiedzmy serdecznie: *Mane nobiscum* (Łuk. XXIV, 29). Pozostań z nami! To głos wnętrza naszego, to głos całéj naszéj istoty: *Mane nobiscum!* Pozostań! Ale tu także jest węzeł całéj naszéj mowy i rozumowania.

Pozostań! Czyż nie pozostanie? Alboli też raczéj: czy prawdy, którą raz dostali, ludzie nie stracą? Czy winą własną nie opuszczą jéj, nie odpędzą, nie zabiją nawet i ani szczątków nie pozostawią? I czy znowu to samo się nie stanie, co się przed jéj przyjściem było stało: że jéj napowrót między ludźmi nie będzie?

Niestety! ta możebność zawieszona jak chmura nad głowami ludzkiemi. Wisi nad niemi piorun, który może ten skarb ich znowu obrócić w perzynę; pod ich stopami trzęsie się wulkan, który go za lada chwilą może pochłonąć. Strach i niebezpieczeństwo grozi bez ustanku, a tą grozą niebezpieczeństwa jest wolność ludzka. Tak niestety, wolność; ten dar Boży, który nas podnosi do niebios, ten sam nas strąca do piekieł.

Chrystus odejdzie, musi odejść. Oto, powiada, odchodzę do Ojca, który posłał mnie, a i dla was pożyteczną jest rzeczą, abym odszedł. *Expedit vobis* (Jan XVI, 5, 7.). Chrystus tedy odejdzie. A cóż się natenczas stanie? Na tę chwilę czekają szatani, czekają faryzeusze, Sofiści, Herodowie i Piłaci, czekają wszystkie namiętności serca i wszystkie szały rozumu, i wszystkie zuchwalstwa woli ludzkiéj. Biedna wolność człowieka, cóż ona wtedy pocznie, jak się utrzyma przy prawdzie, z którą ledwie, że się spotkała, ledwie, że ją powitała, nie miała nawet czasu, dobrze się z nią rozmówić. Cóż się z prawdą stanie w rękach téj biednéj wolności?

Lecz bądźmy spokojni. On sam o tém myśli, on który rzekł o sobie: *Ja jestem prawda.* Owszem, on od wieków umyślił i uradził, co ma uczynić, i to tylko wykona teraz. On prawda, który wiedział jak się miał sam objawić, wie również jaką ma po sobie dać téj prawdzie postać, jakie usta, jaki głos, aby nie było czczém słowem, przebrzmiewającém w powietrzu, ani sennem widziadłem znikającém w ciemnościach; lecz aby była żywą prawdą, taką jak On sam, i mogła wciąż mówić, tak jak i On, do wszystkich niewiernych Tomaszów: Chodźcie, patrzcie i dotykajcie się! Jam zawsze ta sama prawda! Niech się człowiek obraca jak mu się podoba, niech jego wolność jak chce się szamota, niech sobie otwiera wszystkie upusty, któremi błąd znowu lunie nawałnicą; nie lękajcie się: dawny jego potop na ziemię nie wróci; ta tęcza promienna i żywa, którą jestem ja prawda wcielona, i którą odtąd na zawsze pozostaję jasno rozpostarta nad obliczem ziemi, ta zachowa świat i prawdę bożą na nim od zguby na zawsze.

Umyślił, uradził, uczynił tak Chrystus. I stoji jego dzieło, tak jak stanęło Słowo.

Stoji! gdzie ono? — Nie trzeba nam długo szukać. Wiemy gdzie, i wiemy drogę do niego. *Et quo ego vado scitis, et viam scitis.* (Jan XIV, 4.) I gdzie ja jestem wiecie i drogę wiecie!

Zaiste, gdybym jeszcze żył za onych dawnych czasów, kiedy prawda miała dopiero zstąpić na ziemię, i gdybym szukał jéj saméj czyli raczéj jego samego, szukałbym go z takim Sokratesem i z nim razem pytał: gdzie jest Bóg w ludzkiéj postaci, nie ten, który się byle jako nazywa Bogiem, ale który prawdy zaiste naucza? ten co się śmie nazywać prawdą? I nie potrzebowałbym długo szukać; w onych czasach już wiemy, że tylko jeden był taki, ten sam, z którego ust słyszeliśmy: *Ja jestem prawda!* Ale ponieważ żyję w czasach dzisiejszych, kiedy ten jedyny już raz się zjawiwszy, odszedł z pośród nas, a ja wiem o tém, że był i że odszedł, więc szukam tego samego ale inaczéj; i pytam gdzie jest ten mąż, nie taki co się nazywa lada jak Chrystusem, co powiada, że on Bóg jakiś lub Messyasz; ale który mówi o sobie, że zastępuje Chrystusa, że zastępuje na ziemi oną prawdę żywą, która już do nieba odeszła i że jest tak jak ona i jak on nieomylny; jedném słowem gdzie jest prawdziwy zastępca prawdy, dający z góry wszelkiéj żywéj duszy dowód swojéj prawdziwości, tém samem, że twierdzi, iż jest nieomylny. O to się pytam, i o to jedno pytać się powinienem, tego jednego szukać, jeśli istotnie chcę w końcu coś znaleść. Bo zaiste, jeśliby tego na świecie nie było, jeśliby nie było nikogo, coby się twierdził nieomylnym, tedy daremne wszelkie szukanie prawdy, i lepiéjby było o niczém już nie myśleć. Więc szukam takiego zastępcy prawdy, tego nieomylnego na ziemi. I czy myślicie, że go nam długo szukać wypadnie? A toć mi sami odpowiadacie: Dość wyjść na ulicę i spytać pierwszego człowieka, którego napotkasz. I to bynajmniéj nie tu w Rzymie: Uczyń to w Chinach lub Australii, pod północnym albo południowym biegunem, czy na ulicach stolicy, czy na wydmuchach pustyni, spytaj kogo chcesz: Gdzie jest ten, który naucza prawdy, który zastępuje Chrystusa i powiada o sobie, że jest nieomylny? Wszelka żywa dusza jedno i to samo ci odpowie: Idź do Rzymu, tam znajdziesz Piotra. On jeden tylko na świecie to o sobie twierdzi.

W tém jest znamię, w tém piętno nieomylne prawdy nieomylnéj. Ona naprzód sama o sobie twierdzi i to twierdzi, czego nikt inny o sobie nie twierdzi; a potém, — co lepsza dla niéj, gorsza dla innych, — tego nikt inny nie może o sobie twierdzić.

Chrystus jeden o sobie zatwierdził: *Ja jestem prawda!*

Papież twierdzi jeden o sobie: *Ja jestem nieomylny!*

Jużeśmy widzieli: nikt o sobie nigdy nie powiedział co Chrystus: że jest prawdą! Teraz spytajmy siebie i szukajmy przed sobą i za sobą: gdzie jest ten człowiek, lub kiedy był taki, któryby o sobie twierdził to co Papież: że jest nieomylny? Ha! spotkaliśmy już w starych czasach wielu Faraonów, wielu Nabuchodonozorów, wielu Cezarów, głoszących, że są bogami: prawdą nikt się był nie ogłosił. I dzisiaj spotkaliśmy już wielu Machometów, wielu Lutrów, wielu choćby takich Towiańskich, którzy mówią o sobie, że są Chrystusami, Messyaszami, a niechby i na nowo bogami: ale że są nieomylni, tegośmy nie słyszeli, takiegośmy nie spotkali, tego o sobie nikt z nich ani mówił, ani mówi. Kiedym ostatniemu z nich w oczy wyrzucał, że jest takim jak Luter, głowę schylił i w téj lepszéj chwili zawołał: Księże, jeśli tak jest jak mówisz, módl się za mną! Innym pono co innego mówi, zawsze pono to, że ejst Messyaszem; — nigdy jednak, że jest nieomylnym. Lecz nie tylko ono jego słowo zachowałem w pamięci, mam jeszcze w ręku jego pisma, gdzie mazał i przekreślał, i poprawiał. I każdy z nich podobnież maże siebie samego, i przekreśla, i poprawia. Niech to sobie będzie, czem chce, ale to nie nieomylność.

Gdybyż to który z tych filozofów, z tych nauczycieli i zbawców, z tych nowych Chrystusów, nazwał się nieomylnym! Ci sami co ich za takich przyjmują, odskoczyliby od razu. Albowiem serce i wyobraźnia mogą się dać odurzyć czczém imieniem; lecz kiedy idzie o prawdę istą i zamiast imienia wystąpi rzecz i jéj treść naga, wtedy odzywa się rozum, ona jego ocalała połowa, i upomina się o swoje prawa. Podobnie jak ongi pozwalano Cezarom nazywać się bogami i kłaniano się im; lecz gdyby który nazwał był siebie prawdą, śmianoby mu się wbrew; i cała historya skończyłaby się śmiechem. Tém się nie łudźmy, że ich tak łatwo przyjmują za posłańców Bożych i za Chrystusów, i że tém samém zdawałoby się, że ich przyjmują za nieomylnych. To tylko szał serca bierze za bóztwo to czego pożąda swą chucią, a za posłańca Bożego tego, który mu to przynosi; i jeśli go przez chwilę ma za nieomylnego, tedy dopóty tylko, dopóki on przemawia w imieniu tego bóztwa, téj chuci jego serca. Niechże się tylko ogłosi doprawdy nieomylnym, to jest we wszystkiém i przeciwko wszystkiemu, przeciwko temu sercu zwłaszcza, wtedy koniecznie budzi się rozum; i o téj to chwili bezpiecznie twierdzę, że rozum protestuje przeciwko takiemu targnięciu się na prawdziwą nieomylność, i śmieje się z takiéj nieomylności.

Dzięki Bogu, jeszcze żyje rozum ludzki, tak jak żył w onych dawnych podobnych naszym czasach, żyje przynajmniéj ona jego ocalała połowa. Jeszcze ostatnie szaleństwo nie podobne, i samym szaleńcom na myśl nie przychodzi, choć się Chrystusami nazywają, nazwać się w ten ostatni prawdziwy sposób: nieomylnymi! Jeszcze się lękają rozumu.

Lecz teraz tém bardziéj głos podnoszę i w obec tego rozumu, jak i w obec tego bezrozumu, tém śmieléj i tém głośniéj wołam: A wzdy jednak oto jest taki, który się nazywa nieomylnym we wszystkiém i przeciwko wszystkiemu, i ludzie nie śmieją się z niego! Jest ten jeden i żyje. Co innych zabija, to jemu życie daje. I im dłużéj twierdzi, tém lepiéj żyje i tém głośniéj ludzie świadectwo mu oddają. Wściekają się jedni, kiedy drudzy błogosławią; nikt się nie śmieje. I tak wszyscy

jednozgodnie, choć każdy po swojemu, oddają mu świadectwo, i mówią: Ty jeden tylko, któremu to wolno twierdzić, żeś nieomylny i żyć. Rozum ludzki przed tobą z osłupieniem broń składa, kiedy widzi, że tém żyjesz, co innych zabija. Żyj tedy i twierdź to samo: ty iście musisz być nieomylnym!

Więc w końcu cóż dodam? Tak jak Chrystusowi na jego twierdzenie odpowiedziałem rozumem całym i duszą całą: Ty jesteś prawda! tak samo i Jego zastępcy rozumem i duszą całą odpowiedzieć muszę: Piotrze, co Ty twierdzisz, to prawda zbyt jasna: Ty jesteś nieomylny!

Odetchnijmy! znaleźliśmy czegośmy szukali. Teraz nam zostaje zobaczyć: dla czego i w czém i jakim sposobem nieomylny. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Rzym d. 15. Kwietnia.

Ceremonie — w Piątek — w Sobotę. — O. Hiacynt. — książę Humbert. — 12. Kwietnia. — Adres kolegiów; kolegium polskie. — św. Alf. Liguori doktorem. — Deputacya angiel. — *Corresp. de Rome* i liberalna *Rome* ou la patrie. — Civilta catt. i Dzieło O. Semenenki.

Ceremonie wielkotygodniowe i święta Wielkanocne odbyły się roku bieżącego bez wystawy i muzyki figuralnéj w bazylikach i większych kościołach, ku wielkiemu zmartwieniu liberałów, którzy gotowi byli pójść na *Miserere* do Watykanu nie dla modlitwy zapewne, ale tak sobie, na koncert. Natomiast prawdziwi Rzymianie gromadzili się tłumnie po kościołach licznych modlitwą starali się przebłagać za liczne zniewagi imienia bożego. We wielki mianowicie piątek spotkać mogłeś w każdym kościele mnóstwo modlących się przy grobie, na *Scala Santa* na klęczkach przepraszali Zbawiciela, za bezwstydne uczty wyprawiane przez wolnomyślnych. — We wielką Sobotę zwyczajnie za dawnych czasów chrzcono jakiego mahometana, lub żyda; te czasy już minęły; Ghetto obecnie réj wodzi w dziennikarstwie, szkołach, akademiach, nie może więc być mowy o nawróceniu się, — prawdopodobniejszą jest, że który z fanatycznych postępowców gotów żydem zostać, jak to bywało w czasie jakobinizmu w Paryżu r. 1798. Złoty cielec dla zmateryalizowanego społeczeństwa jest kresem i bóstwem, po za nim nie szukaj zasad i przekonań. Wszakże i u Was przegłęboki odcinkarz *Dziennika* cieszy się, że redaktor nie ma przekonań, że „lawirując“ wybornie robi, bo zasady i przekonania *„pachną zawsze liberyą.“*

Zjawił się tu ex-O. Hiacynt i zamyśla w Koloseum prawić mowy; za entrée płacić się będzie tylko 5 franków. Rozumie się, że zbije pięciofrankówek wiele, bo głupich nie sieją, sami się rodzą, mówi przysłowie. Rzym jest teraz wybornem polem popisu dla Hiacyntych, Gavazzych, a gdyby jeszcze Döllinger zawitał, gotowi mu sprawić fakelzug.

Ks. Humbert wrócił znów do Rzymu i ma niebosem z żoną udać się do Neapolu, i kiedy we Florencyi szanowny książe odbywał przegląd wojsk, nakazano surowo, aby na pytania jego książęcéj mości nie odpowiadać po prostu *Signore si, Signore non* tylko *Altezza si, Altezza no.* Zdarzyło się, że książe zgadnął jednego żołnierza z pułku rekrutów, czy mu się żołnierka podoba. Żołnierz wedle instrukcyi pospieszył z odpowiedzią: *Altezza si; Altezza non.*

Dn. 12. Kwietnia przypadła rocznica powrotu Ojca świętego z Gaety i rocznica cudownego zachowania Piusa IX. podczas zerwania się podłogi u św. Agnieszki. Dzień podwójnie uroczysty był powodem do zamanifestowania ze strony Rzymian miłości ku osobie Papieża. Liczne deputacye składały adresy ze wszystkich państw ludności rzymskiéj, wieczorem illuminowali okna, w niektórych widziano transparenty z napisami: Piusowi IX. wierność, żałobę i przywiązanie. Ojciec św. przyjmował w sali wielkiéj konsystoryalnéj także rektorów wszystkich kolegiów narodowych. Zaledwie wszedłszy Ojciec św. do sali ujrzał deputacye młodzieży seminaryjskiéj wszelkich narodów z rektorami swemi, przechodząc obok kolegium polskiego ze zwykłą dobrocią do alumna ks. Webera i ks. Kolankiewicza przemówił: Poznaję was po zielonych pasach, to kolegium polskie. Następnie odczytał O. Jacovacci rektor najstarszy Propagandy pięknie ułożony adres, gdzie podnosi znaczenie dnia 12. Kwietnia, dnia radości. Niestety, położenie Głowy kościoła jest smutne, uważają przeto wszystkie narody reprezentowane przez kolezka za swój obowiązek dać nowy dowód przywiązania, czci i współczucia. Szkoda, że w całości adresu tego przesłać nie mogę, czego żałuję z dwóch względów, raz że Ojciec św. podczas czytania tak wniknął w jego znaczenie, że gestykulował odpowiednio do sensu wyrazów, „powtóre że jak się dowiaduję, autorem adresu jest O. Semenenko. Następnie miał Ojciec św. przemowę pełną werwy i ciepła i w końcu dał błogosławieństwo dla wszystkich narodów, które kolegia reprezentują, a szczególniéj dla Anglii, Francyi, Szkocyi i . . . . (tu oglądając się, szukał wzrokiem kolegium polskie) i dla Polski. Jak to Ojciec św. zawsze o biednéj Polsce pamięta, i ją błogosławi, mimo to, że niektórzy z nas łączą się z Garibaldim lub Wiktorem Emanuelem przeciw niemu. Ale miłość namiestnika Chrystusowego tylko daje, a nie troszczy się czy odbierać będzie; tak czyni zawsze miłość prawdziwa.

Kongregacya obrzędów wydała z rozkazu Ojca św. dekret *Urbi et Orbi* mocą którego św. Alfons Liguori mianowany został doktorem kościoła.

Deputacya angielska już wyjechała z Rzymu. Nie pisałem jeszcze, że zaraz w dzień przybycia do Rzymu spotkał deputacyą afront ze strony liberałów. Przywitał ich bowiem gwizd i krzyki na dworcu kolei żelaznéj. Rozumie się, że to postępu i cywilizacyjne owoce, wstecznicy by się na coś podobnego nie zdobyli.

Dawna *Correspondance de Rome* poczyna znów wychodzić, w jéj miejsce przez czas niejakiś wychodził dobrze redagowany tygodnik p. n. *Rome ou la patrie cotholique.* Od pierwszego Kwietnia ogłosił redaktor, że zwija wydawnictwo i w jego miejsce wychodzić będzie *Union catholique.* Tym czasem rzeczy inny obrót wzięły. Podobno 2000 lir miesięcznéj zapomóżki ze strony rządu udaremniły to wydawnictwo; *Rome ou la patrie* nadal wychodzi, ale ze zakrojem liberalno-katolickim. Naczelny redaktor Deschamps wyrzekł się współuczestnictwa i żadnego wspólnictwa z *Rome* nie ma. *Correspondance de Rome* jak dawniéj tak i dzisiaj jest szczerze katolicka.

W przedostatnim zeszycie *Civilta catt.* czytamy rozbiór dzieła O. Piotra Semenenki p. n. *Quid Papa et quid episcopatus* gdzie bardzo przychylnie się o téj pracy wyraża. Dziwiło nas trochę, że w żadném z pism teologicznych polskich nie spotkaliśmy się choćby z prostą recenzyą. Dzieło teologiczne przez Polaka napisane jest tak rzadkim fenomenem w naszych czasach, że z prawdziwą lubością winniśmy przyjmować podobne wiadomości i z niemi zapoznawać ziomków wszelkiemi możliwemi sposobami.

— Korespondent rzymski *Czasu* pisze pod dniem 8 kwietnia:

„W przeszły wtorek, dnia 4 kwietnia, który tego roku był wtorkiem Wielkiego tygodnia, Deputacya angielska, o któréj wybieraniu się do Rzymu już dawniéj wam pisałem, była wprowadzona przed Ojca świętego i miała audyencyą. Składała się ona z przeszło 30 osób, śród których było 8 lordów i wiele innych znakomitości, na czele jednak stał 24 letni młodzieniec, książę Norfolk. Względy hierarchiczne nigdzie nie są tak pilnie przestrzegane, jak w Anglii, jak to powszechnie jest wiadomém; otóż książę (the duke) of Norfolk jest pierwszym w godności księciem i pierwszym parem dziedzicznym królestwa angielskiego; ma więc pierwszeństwo we wszelkich stosunkach spółecznych przed innymi. Po nim najwyżéj postawionym z deputacyi był hrabia (the Earl) of Denbigh, znany dawniéj przed śmiercią swego ojca jako lord Fielding; ta familia zajmuje ósme miejsce między hrabiami Anglii. Jeden z najznakomitszych własną osobistością był lord Robert Montagu, dawniejszy minister oświecenia w Anglii; podobnież jak i lord Denbigh należący do nowo nawróconych. Między innymi znajdował się w deputacyi i pan de la Barre Bodenham, niejednemu zapewne z waszych czytelników znajomy, z powodu małżeństwa z Polką.

„Deputacya była przyjęta przed południem, a przewodniczący przeczytał po francuzku adres, dłuższy niż jakikolwiek z dawniejszych. Widać, że to właściwe Anglikom wszystko dokładnie brać pod rachunek, i żadnego nieopuszczać szczegółu. Główną myślą adresu jest silne zatwierdzenie potrzeby władzy świeckiéj, jako też w niczém nie oszczędzające potępienie grabieży na Papieżu dokonanéj. Wszystko tu jest po swojém imieniu nazwane, ale zarazem wszystko dowiedzione.

„I tak naprzykład zatwierdziwszy, że władza świecka jest bezwarunkowo potrzebna do porządnego i swobodnego rządzenia Kościołem, adres natychmiast przystępuje do dowodów. Warto powtórzyć pierwszy, który jest jakoby założeniem i podstawą innych, a trafia od razu w samo dno rzeczy. „Albowiem — powiada adres — Biskup rzymski będą głową całego Kościoła nie może być poddanym żadnego monarchy, ani też żyć jako gość u monarchy żadnego.“ Że nie powinien być poddanym żadnego monarchy, to rzecz zbyt jasna, tak jasna, że ją przyjęli jako pewnik mężowie stanu Italii saméj i rząd jéj zaborczy, i że pod parciem tego pewnika, i rząd i parlament siłą się na stworzenie dla Papieża niemożebnéj pozycyi, w któréj nie będąc monarchą, nie byłby jednak poddanym. Atoli do czegoż doszli? Do owéj fikcyi, że Papież jest monarchą obcym, będącym u nich w gościnie. Jest to fikcya, o któréj niemożebności mówi druga część założenia przytoczonego z adresu: „Papież — prawi — nie może żyć jako gość u monarchy żadnego.“ Że to drugie twierdzenie jest równie jasne jak pierwsze, to także każdy widzi, a w końcu to muszą nam przyznać sami Włosi. Albowiem z dwojga jedno: Papież albo idzie na wygnanie, albo pozostaje w Rzymie. W pierwszym przypadku jest gościem u innych monarchów, ale zarazem jest na wygnaniu zdala od Rzymu, a tego sami Włosi nie chcą. W drugim przypadku jest gościem u monarchy Italii, gościem w samym Rzymie; ale w takim razie, jeźli w Italii i w Rzymie Papież jest gościem, tedy już zgoła nie jest mieszkańcem téj ziemi, nie ma kącika, o którym mógłby powiedzieć, że jestem u siebie, Papież jest na wygnaniu. Oto co nam Włosi, jeźli nie słowami wyraźnemi, tedy koniecznemi następstwami, sami wyznawają — wszystkie ich gwarancye tak mozolnie zesztukowane, to jedno nam mówią — to jest potwierdzają najwymowniéj, co adres angielski nam powiada, że Papież ani może być poddanym żadnego monarchy, ani też żyć jako gość u monarchy żadnego. Najpewniejszą zaś jest rzeczą, że mniéj niż u jakiego innego, może być gościem u monarchy Italii królującego w Rzymie.

„Papież odpowiedział na ten adres w następujący sposób:

„Jestem przepełniony miłością, serdecznem uczuciem i wdzięcznością, odpowiadając na piękne uczucia, które mi wyrażacie w téj chwili na korzyść téj Stolicy Świętéj, i tego słabego człowieka, którego podobało się Bogu posadzić na niéj w czasach tak trudnych i tak przeciwnych, w czasach, w których tylu się podniosło przeciwko Chrystusowi i Kościołowi Jego, a którego my obowiązani jesteśmy bronić praw będących zarazem prawami prawdy i sprawiedliwości.

„Tak, powtarzam, przepełniony jestem wdzięcznością, a wasz widok przypomina mi jednego z moich wielkich poprzedników, który tyle kochał Anglię; przypomina mi Grzegorza Wielkiego.

„Jestem jego następcą, a jeźli nie mogę się z nim równać co do cnoty i nauki, nie ustępuję mu zaprawdę w miłości dla was i dla Angielskiego kościoła. Uczyniłem ile mogłem, aby rozszerzyć, pomnożyć, powiększyć ten kościół waszéj Ojczyzny, która niegdyś była wyspą świętych, a która pokazała na świecie i śród ludzkości tak wielką potęgę aż do naszych czasów.

„Modliłem się do św. Grzegorza, aby mi podszepnął wyrazy jakiebym do was powiedział w tym dniu, i nawinęły mi się dwie myśli. Pierwszą jest, abyście byli zawsze zjednoczeni, i aby wasza gorliwość szła zawsze w zgodzie z tém, co się objawia po całym Kościele katolickim. Jak w początkach religii chrześciańskiéj, tak o was niech będzie można powiedzieć: *Credentium erat cor unum et anima una.* Wszyscy wierzący mieli serce jedno i duszę jedną.

„Bądźcież tedy zawsze, błagam was, zjednoczeni między sobą. Polecam wam powiedzieć to biskupom waszym. Oni z wami a wy z nimi bądźcież połączeni; a jeźliby kto wstecz kroczył, niechże wiedzą o nim, aby go przekonać i przyprowadzić do tego, by szedł z innymi, przeciwko wspólnym nieprzyjaciołom religii i Kościoła. My nie mamy do walczenia z polityką lub z rządami, ale mamy bronić praw prawdy, praw religii, praw danych nam przez Chrystusa Pana.

„Prócz tego, drodzy mi synowie, konieczną jest rzeczą mieć odwagę; odwagę mówienia, kiedy idzie o obronę Kościoła, o obronę przeciwko nieprzyjaciołom, którzy, jak wszędzie indziéj, tak szczególniéj téż we Włoszech przeciwko niemu podnieśli wojnę. Ta wojna nie jest jedynie przeciwko Papieżowi wymierzona. Wielu ich już jest niestety, którzy nie chcą słyszeć o Chrystusie Panie i o Najświętszéj Pannie. W wojnie takiego rodzaju trzeba zjednoczyć wszystkie wasze siły. A bramy piekielne pewno nigdy nie przemogą. *Portae inferi non praevalebunt.*

„Miałbym nie jedną rzecz jeszcze do powiedzenia, drogie dzieci, ale nie chcę nadużywać waszéj cierpliwości. Niech wam towarzyszą moje błogosławieństwa, które wam daję z całego serca. Jużem wam powiedział: Kocham Anglię, i jeżeli święty Grzegórz wyższy jest odemnie w nauce i cnocie, tedy w miłości dla Anglii wcale mię nie przewyższa; jestem tu na równi ze św. Grzegorzem. Boże mój spraw, aby Kościół katolicki kwitnął w Anglii, aby się tam wzmógł najpomyślniéj.

„Niechże wam tedy towarzyszą moje błogosławieństwa w całém waszém życiu, niech będą z waszemi żonami, z waszemi dziećmi, nad waszemi ziemiami, dostatkami i wszystkiém waszém, byście żyli i umierali z temi błogosławieństwami. Boże, błogosław ich wszystkich, aby ich usta mogły się otworzyć do chwalenia Ciebie przez całą wieczność.

„Benedictio Dei omnipotentis etc.“

Z powiatu Międzychodzkiego.

Jak wiadomo na 27 b. m. przypadają wybory po raz trzeci w obwodzie szamotulsko-obornicko-międzychodzkim. Już przy powtórnym wyborze, kiedy nam zaręczono przez przyjaciół p. Hr. Stef. Kwileckiego, że na niego katolicy niemcy w powiecie Międzychodzkim bezpiecznie głosować mogą, ludzie przychodzili do mnie po radę, czy mogą głosy swe oddawać na p. Hr. Stefana Kwileckiego z Dobrojewa, zwłaszcza, że poprzednio głosowali na X. Dziekana Sibilskiego.

Dziś oczywiście rzeczy zmieniły się bardzo i wątpię, czy kto w stronach naszych na p. Kwileckiego głos odda.

My chętnie głosowalibyśmy i na Polaka kalwina, byleby ten dał nam zapewnienie, że w interesie mandantów występować i bronić będzie sprawy mu poleconéj. Pan Hr. Stef. Kwilecki zaręczenia takiego nietylko dać nie chce, ale nawet odmawia nam prawa dozapytania się o sposobie myślenia swego, czyli raczéj odmawia prawa zapytania się, czy będzie w danym razie popierał także sprawy uciśnionego Kościoła św., zasłaniając się „nielegalnością“ podobnych zapytań. P. Dr. Rakowicz z Torunia wyraźnie żądał oświadczenia się od p. Hazy z Radlic, czy na pewno przystąpi do Koła polskiego i to bez upoważnienia wszel-

kiego mandantów — to wolno — temu służy prawo; — nam nie ma być wolno i nie mamy mieć prawa zapytać i dowiedzieć się, czy kandydat nasz w sprawach naszych będzie obrońcą naszym. Podziwiamy tę nową wolność!

Panu Hr. Stefanowi Kwileckiemu oświadczamy tedy wskutek odpowiedzi jego w *Dzien. Pozn.* Nr. 84., że zwierzchnika naszego dyecezalnego kochamy, że wola Władzy naszéj duchownéj jest nam świętą, że nie pozwalamy sobie powierzchownego sądu o jéj rozporządzeniach, a tém mniéj pójdziemy po wyjaśnienia czy tłomaczenia tychże do gazet.

P. Hr. Stef. Kwilecki nie dba bynajmniéj o głosy katolików niemców, więc się okaże dowodnie, że wszelkie krzyki na ultramontanów są tylko pozorami i że w gruncie rzeczy idzie o hasło: „Precz z katolicyzmem, precz z Kościołem-“ W tém zdaniu tym bardziéj musielibyśmy się utwierdzić, patrząc na to, jak gazety polskie umizgają się do żydów, „Polaków mojżeszowego wyznania“, których ze świecą za dnia białego trzebaby szukać — tak ich mało — a jak natomiast odpychają katolików z Polakami trzymających, bo połączonych z nimi uczuciem sprawiedliwości i jednością wiary.

Gozeta Toruńska twierdzi, że zwycięztwo p. hr. Skórzewskiego żydom przypisać należy, więc że i ze względu na wybory szamotulskie o ich łaski starać się potrzeba. *Gazeta toruńska* myli się bardzo: żydów Polaków u nas nie ma — a jeśli głosują tu i owdzie za kandydatem polskim, czynią to w małéj liczbie i z chwilowych pobudek. P. hr. Stef. Kwilecki poważną liczbę katolików niemców jako drobnostkę nic nie znaczącą traktuje: czyby i dla niego milszemi były głosy „Polaków Mojżeszowego wyznania?“ Że też to ci nasi wielcy ludzie najprostszych rzeczy nie rozumieją, jeno w tak górne sfery subtelnych wywodów się wznoszą, że aż zawrotu głowy grozi niebezpieczeństwo.

X. Jaensch.

Z nad Sanu. Dyec. Przemyska. (Dr. Smolka — równouprawnienie żydów).

(Dokończenie.)

Byt historyczny każdego narodu zależy głównie na utrzymaniu wszystkich narodowych pamiątek, tradycyj i cech, które go od innych narodów wyróżniają i są mu właściwe. Te bowiem moralne dźwignie podpierają jego exystencyą materyalną i wpływają na rozwój stanowiska politycznego. Takiemi cechami narodu polskiego są: *Religia katolicka i język ojczysty.* W imieniu religii staczali Ojcowie nasi dzielne walki z dziczą pogańską, broniąc ojczyzny od zagłady. Literatura języka polskiego, to skarby narodowe, których wartość oceniły narody europejskie. Dzieła w tym języku pisane dały poznać Polaków innym narodom jako naród cywilizowany. Obydwa te pierwiastki moralnéj siły narodu muszą być koniecznie podtrzymane. Obowiązkiem każdego prawego patryoty jest bronić ich od upadku i zagłady przeciw ludziom innego moralnego ustroju i ducha. Z ich zaginięciem ginie naród, zaciera się jego zewnętrzna postać, zostać może chyba czcza nazwa, ale nie naród.

Jak zaś obydwa te charakterystyczne i od narodu polskiego nigdy nieoddzielne znamiona interesują polaków mojżeszowego wyznania, to już zbyteczna rzecz dowodzić. Patrzyły na to wieki całe, patrzymy i my, i patrzeć będą późniejsze pokolenia.

Religia katolicka — ta strojna szata narodu polskiego, która zarówno odziewała królów polskich jak i lud cały — zaczyna być przedmiotem coraz wyraźniejszego szyderstwa i pośmiewiska dla równouprawnienia obywateli żydów. Nikt na to ust rozdziawić nie może. Zarażeni wiedeńskim liberalizmem ziomkowie usiłują postawić gmach sławy narodowéj, ale bez religii. Im nie chodzi o Religią w narodzie, bo nie chcą zrozumieć jéj znaczenia i skutków. W wiedeńskim Raichsracie niczém się nie odróżnili w zapatrywaniach religijnych od ucywilizowanych żydów. Krajowe dziennikarstwo porwane tym prądem wolnomyślności religijnéj z Wiednia wiejącym, zamiast bronić wiary w narodzie — poniewiera ją i depce bezkarnie. Lada poduczony żydek porywa się samozwańczo do kierowania opinią publiczną, a wszystko kosztem wiary i Religii narodu polskiego. Ustawy konfesyjne — ten nowoczesny dziwoląg religijno-polityczny — wspierają równouprawnionych obywateli, zasłaniają od kary za zniewagę Religii. Co dawniéj jako prawo obowięzowało pod karą zarówno katolików, jak i niewiernych, to po zapadłych w Wiedniu ustawach wyznianowych stało się przedmiotem urągania i drwinek. Dawniéj zabronione było otwieranie sklepów, szynków, sprzedawanie i kupczenie wszelkiego rodzaju podczas publicznego nabożeństwa w dni świąteczne. Zakaz ten rozciągał się nie tylko na miejsca bliżéj kościoła położone, ale i na najdalsze, a trudniący się przekupstwem musieli uprzątnąć w czasie nabożeństwa wszystkie artykuły. Jeszcze surowiéj zakazane były wszelkie publiczne roboty, które dzień św. znieważały lub do jego święcenia przeszkadzały.

Ponieważ atoli takie przepisy mogłyby krępować w pewnym stosunku swobodę równouprawnionych obywateli żydów, postarano się o ustawy konfessyjne, gwarantujące im „niczem nieograniczoną wolność.“ Nie omieszkali téż równouprawnieni korzystać z nich wszędzie i zawsze. Opierając się na prawach swego równouprawnienia i ustawach konfessyjnych, poczęli przybierać coraz zuchwalszą postawę w obec chrześcian szanujących swoją Religią. Znane są nadużycia, jakich dopuszczają się żydzi po miastach i miasteczkach. Urzęda pojedyńczych powiatów w Galicyi posiadają dosyć zaskarżeń przeciw żydom — znieważającym publicznie Religią chrześciańską naprzekór chrześcianom.

Że stan taki musiał wywołać rozdrażnienie do najwyższego stopnia, to było przewidziane. Ludność chrześciańska nie chcąc dłużéj patrzeć na bezkarną samowolę żydów, widząc pobłażliwość ze strony władz, przywłaszczyła sobie niesłusznie kompetencyą do wymierzenia sprawieeliwości na winowajców, dopuściła się licznych ekscesów, które zastraszające przybrać mogły rozmiary i najsmutniejsze pociągnąć następstwa. Dzienniki krajowe podały tylko główniejsze wypadki rozdrażnienia ludności chrześciańskiéj przeciw żydom do publicznéj wiadomości, chociaż ich było bardzo wiele po miasteczkach i wsiach. To spowodowało władze polityczne, że rozesłały okólniki do dusz pasterzy każdego powiatu na mocy rozporządzenia Wys. Namiestnictwa z d. 24. października r. z., aby ci w sposób odpowiedni wpłynęli na ludność i to wzburzenie umysłów załagodzili.

Dowodzi to, że nowe prawa liberalnego Wiednia nie przyniosły wcale téj swobody, jaką mężowie rajchsratowi — wyrzucający Religią katolicką z programu obrad — stworzyć zamierzyli. Budowa, którą z wielkim tryumfem, jako szczyt wolnomyślności religijnéj 19. wieku do skutku przywiedli, jakoś się chwieje i upadkiem grozi. Widać — brakło jéj fundamentu moralnego, na którym jedynie największe dzieła stoją niewzruszone. Chcąc naprawić i podtrzymać tę walącą się budowę, trzeba się udać do reprezentantów siły moralnéj, — do duchowieństwa, któremu w Radzie państwa odmówiono wszelkiego rozumu, nauki i roztropności, aby wpływem swoim godziło poważnionych nowemi prawami obywateli kraju. „Lapis, quem reprobaverunt aedificantes factus est in caput anguli.“ —

Otóż pod względem moralnéj jedności, jaka jedynie do wielkich czynów zagrzewa, a która z Religii płynie, naród polski przez równouprawnienie żydów wcale nic nie zyskał. Religia — ta pierwsza cecha prawego obywatelstwa polskiego, zamiast wzrastać, musiałaby upaść, gdyby to od nich zależało. Narodowi polskiemu przybyło tylko liczebnie nieprzyjaciół, którzy z większą niż dotąd śmiałością na zagładę Religii całego narodu nastawają. — Może sobie ktoś z p. Smolką widzieć w tém najlepszy nabytek narodowy, grożąc nam „zupełną zagładą“ — gdybyśmy go odrzucali, — ale my nie możemy wziąść téj illuzyi za rzeczywistość; my na fakta patrzymy. —

Nie lepiéj się rzecz ma z językiem narodowym. Polacy mojżeszowi nie tylko nie nauczyli go się przez wieki swego w Polsce pobytu, ale nadto w swoich odrębnych kółkach okazują do niego formalną niechęć. Zwrócimy tylko uwagę na szkoły publiczne, gdzie obecnie Rady gminne, złożone z katolików i żydów nad dobrém ich i szybkim rozwojem obradować mają. Plemienna nienawiść żydów ku katolikom przechodzi z rodziców na dzieci. Uwidocznia ona się tu bardzo wyraźnie, — a chociaż optymiści poręczają, że żydowskie dzieci — jako równych obywateli — kształcąc się w szkołach publicznych razem z katolickiemi dziećmi, otrzęsą się z kastowych nawyknień i obyczajów rodzicielskich, że pokochają język narodowy i uczyć się będą; to żywa praktyka zadaje kłam takiemu twierdzeniu. Żydzi jak przed równouprawnieniem, tak i teraz okazują zapamiętałą

niechęć do posyłania swych dzieci do szkół publicznych chrześciańskich. Każdy majętniejszy żyd woli trzymać belfera żyda, który dzieci jego w talmudycznych ćwiczy zasadach; jeśli zaś jest biedniejszy, wtedy składa się ich kilku na utrzymanie takiego belfera. Wolnoby im i to było, gdyby pomimo tego poczuwali się także do nabywania nauki w duchu narodowym. Ale każdy może się naocznie przekonać, że w szkołach ludowych nie zaświadczy żydowskie dziecka, albo bardzo, bardzo rzadko. Próbowano nawet w kilku miasteczkach użyć środków przymusowych, ale żydzi znaleźli zawsze wykrętne wymówki. W najgorszym razie umieli się nawet postarać o świadectwa fizycznéj słabości, która ich dzieciom nie dozwala uczęszczać do szkoły. Nie rzadko znaleść gminy, w których liczba dzieci do szkoły obowiązanych setki przechodzi, a przecież żadnego żydowskiego dziecka nie znajdzie w szkole. Jeżeli zatem dzieci żydowskie odrębne biorą wychowanie, jeżeli nie mają najmniejszéj podniety do szkół publicznych — jakoż się mogą stać krajowemi? jakoż się nauczą języka narodowego? ....Jeżeli żydzi zasiadają w Radach gminnych, a szkoły ludowe kosztem gmin są utrzymywane, do których żydzi *pleno jure* należą, — jakoż przy téj niechęci do szkół chrześciańskich — będą radzić nad dobrem ich? Wypadnie zatém, że wszystko, cokolwiekby dla dobra szkoły w takiéj mieszanéj gminie zrobić można, natrafi na opór radnych żydowskich, którzy w większości zasiadając, zawsze swego dopną. I nie może być inaczéj, bo żydzi takiéj szkoły wcale nie potrzebują.

Czy w takim stanie rzeczy wyrobią się z młodego pokolenia żydowskiego prawi obywatele kraju, niech odpowiedzą ci, którzy krzycząc za równouprawnieniem, gwarantowali to. Nam się zdaje, że przy separastyczném wychowaniu w kierunku przeciwnarodowym, przy obojętności na interesa całego kraju, a zdrugiéj strony przy wytężonéj żądzy na dobro własnéj kieszeni, — żydzi i po równouprawnieniu nie wyrzekną się téj zasady: „ubi bene, ibi patria.“ Lubo nie możemy być zwolennikami nietolerancyi politycznéj, toć przecież zdaje nam się, że takie równouprawnienie, jakie żydzi otrzymali — wyjdzie na szkodę narodowi. Kastowość ich przy niczém nieograniczonych prawach stanowi raczéj wewnętrzne osłabienie narodu, paraliżuje ogólne dobro kraju. Kto nie działa wspólnie dla dobra wspólnego, ale tylko o własne dba korzyści, ten nie jest nigdy dobrym obywatelem. Kto nie idzie z narodem ręka w rękę, ale przeciwnie myśli i działa, ten jest narodowi obcym, jest jego nieprzyjacielem. Przypuścić takiego do równych praw z narodem, to znaczy podać mu sposobność do łatwiejszego podkopania moralnego i materyalnego bytu narodowego. —

Jakie zaś żydzi dają dowody patryotyzmu polskiego, dość wskazać na najświeższe wypadki.

Sądząc z téj różności usposobień narodowych, nawet p. Smolka nie dostrzeże w żydach obywateli kraju, którzyby po polsku myśleli i wspólnie z narodem działali. Zaręczał on w prawdzie, że: *„przyznanie im równouprawnienia dokaże tego cudu, że ich przemieni na prawych synów naszéj wspólnéj Ojczyzny, a temu cudowi przypatrzymy się my jeszcze,“* alež to znowu tylko frazes bez znaczenia. My już cudu nie żądamy, ale niech nam pokaże choć jeden zwykły czyn wspólnego żydów z narodem działania. Wszak już ich dziś nic nie krępuje; mają równe prawa, — nie mogą się wymawiać od wspólnych obowiązków obywatelskich. Czemuž nie wyrzekają się separatyzmu, który ich zawsze zdaleka trzyma od uczuć i dążności ogółu narodu?... Do postawienia tych pytań zmusza się nie tyle obojętność na sprawy i wręcz przeciwne narodowi polskiemu dążności żydów, o czém byliśmy z góry przekonani, — ile to dziwne złudzenie, jakiemu tak wiele z p. Smol. ulega. Pomimo najwyraźniejszych dowodów polskiéj przychylności ku żydom, jakoś trudno mieć dobrą wiarę, że oni staną się obywatelami tego kraju, który ich od tylu wieków chlebem swoim karmi. — Zbierając fakta — jakie się każdemu bezparcyalnie patrzącemu przedstawiają, nie potępiamy bynujmniéj tych, którzyby inaczéj te rzeczy widzieć chcieli, — owszém radzibyśmy byli, aby te spostrzeżenia wywołały zwrot ku dobremu!

Stanowisko nasze.

Im głębsze i prawdziwsze uczucie, tém troskliwiéj strzeże swéj godności. Zaprzeczane nie zniża się do dowodów, wywoływane milczy, nakazywane skupia się i zamyka w sobie. Człowiek zacny nie przechwala się swą uczciwością, miłosierny swém poświęceniem, mężny swą odwagą. Instynkt téj godności budzi się już wtedy, gdy pojęcie onéj ani świta jeszcze. Dziecię, które nierozważni rodzice wciąż nagabują pytaniem czy ich kocha, nuży się, najprzód z igraszki przeczy, a następnie gotowe na prawdę osłabnąć w swéj miłości. Cóż dopiero, gdy ta godność, coraz siebie świadomsza, dojrzeje, i w zetknięciu się ze światem, w rozmaitych kierunkach, w obec rozlicznych obowiązków, co chwila spotyka do wyboru: czy słowo bez czynu, czy czyn bez słowa. Wtedy, jeśli się nie zachwieje, tworzy silne i wielkie charaktery, wznosi się w bohaterstwo, często pada ofiarą, ale w końcu prawie zawsze, acz po niewczasie, zdobywa sobie cześć należną, i staje się zaszczytem człowieka i chlubą narodu. Na tym to przedmiocie, wielki znawca serca ludzkiego i mistrz w oddaniu jego uczuć, Szekspir, zbudował jeden z najpotężniejszych swych dramatów. Kiedy dwie niegodziwe córki króla Leara przesadzają się w swych wynurzeniach miłości dla ojca, trzecia, cnotliwa Kordelia, odpowiada tylko: „Ja umiem kochać i milczeć.“

Nic drażliwszego w téj mierze nad miłość ojczyzny, bo ze wszystkich uczuć ziemskich, gdyż tu o miłości Boga i religii nie mówimy, jest ona najrozleglejszą, najgłębszą, najtrwalszą. Najlżejsze nawet powątpiewanie dojmuje ją do żywego. A jeśli tak się dzieje w krajach wolnych, o ileż dotkliwszą musi być ta strona w narodach pozbawionych niepodległości, uciemiężonych, znękanych nieszczęściem. Znają to dobrze stronnictwa polityczne, i dla tego, skoro walka między niemi zawrze, gwałtowniejsze, zarozumialsze, samolubniejsze, zaraz zarzucą drugiemu brak patryotyzmu. Najłatwiejszy to sposób, by odwrócić uwagę powszechności od przedmiotu, o który spór się toczy, pokryć brak zasad i argumentów, i pociągnąć za sobą tę rzeszę, co nie rozumem, nie sercem nawet, ale imaginacyą, wrażeniami i nerwami potrzebującymi ciągłych i gwałtownych bodźców, zwykła się rządzić. Wtedy otwiera się na rozcież cały arsenał komunałów patryotycznych, wysypuje się grad upokarzających przezwisk, biją pioruny wyklęć i złorzeczeń. Wtedy w najzdrowszą radę uderza pocisk podejrzenia, gorzką prawdę przygłuszają pochlebstwa, łechcące próżność narodową, a najdzielniejsze głosy, ostrzegające przed zgubnemi zamiarami, przytłumia jedno szumne a podstępne zaklęcie w imię ojczyzny. Wreszcie powoli mgły opadają, prawda wszem w obec przedziera się na światło dzienne, a tym, co ją sztucznie wywołaną burzą pokryć i do swych celów wykrzywić usiłowali, pozostaje tylko zadowolenie, że swych przeciwników dojęli w najdroższém ich uczuciu, i nadzieja, że z pod cienia podejrzeń nie rychło wyjdą, i tym sposobem zostawią im zupełnie wolne pole do działania.

Nierycerską broń tę wyostrzono u nas w ostatnich czasach na nowo. Lada opór, lada pomysł sprzeciwiający się dążnościom i widokom pewnego stronnictwa, natychmiast przezeń ogłaszanym bywa za przeniewierstwo, zdradę, Targowicę. Co tylko wprost i wyłącznie nie popiera zabiegów i celów politycznych, to zaraz wyklętém zostaje

jako zaprzaństwo uczuć narodowych. Wedle téj reguły trudnić się naukami społecznemi, badać kwestye ekonomiczne, nawoływać naród do cichéj a mozolnéj pracy, to materyalizm co ducha gasi; a znowu rozwijać życie duchowe w téj najwyższéj sferze, co się religią zowie, a co się w powszechnym Kościele zamyka, bronić praw tego Kościoła wraz z wszystkimi wiernymi innych krajów, to kosmopolityzm, który zabija narodowość. Na odwrót, szumny frazes patryotyczny, byle głośno powtórzony, każdą wadę, jak ktoś dobrze powiedział, w cnotę zamienia, każdą mierność talentem, a talent geniuszem mianuje. Mistrz pochlebia uczniowi i od razu pasuje go na rycerza, skoro ten w jak najjaskrawszych barwach narodowych wystąpi. Żak szkolny nie uczy się, nie umie historyi polskiéj, ale natomiast paraduje w lot i bez trudu nabytą frazeologią patryotyczną, i byle paszkwil ukleił, byle obelżywy inserat w jakim dzienniku przeciw ultramontanom zamieścił, już myśli, że spłacił cały dług ojczyznie. Rodziny w zaciszu domowém skrzętnie pracujące, żałobą narodową od świata i jego wrzawy oddzielone, pielęgnowaniem tradycyi, języka, obyczaju ojczystego zajęte, ale nie biorące udziału w lada hałaśliwéj manifestacyi, spotyka co chwila zarzut zastałości, wstecznictwa, odstępstwa. Przeciwnie te, co błyszczą wszelką nowością cudzoziemską, co zbytkują, co strojami i ucztowaniem urągają się naszemu ubóztwu, stawiane są jako przykład na świeczniku, skoro tam jaki okruch marnowanego majątku na czele jakiéj składki wystawnie zapiszą, skoro obłudnie zawtórują zgiełkom i hasłom ulicznym i do swego ogniska przypuszczą którego z chwilowych rozdawców popularności. Dziennikarstwo, literatura, zwłaszcza powieściowa, coraz wyłączniéj posługuje się tym blichtrem patryotycznym. „Romans w Polsce (mówi hr. Tarnowski) stał się patryotą, a przytém stworzeniem bardzo niezgodném, sprzymierzeńcem wszystkich społecznych niechęci i antagonizmów.“ Całe zadanie tego rodzaju pisarzów zdaje się polegać na tém, aby roztkliwiać, rozmazgajać naród, rozgorączkowywać go marném wyrzekaniem przeciw wrogom, a utulać w próżność i zarozumiałość. Zgoła, jeśli nie z intencyi, to w skutku wychodzi na to, jakbyśmy się starali nie o ukrzepienie narodu w siłę, ale o pozory siły, nie o ów męzki, dobrze siebie świadomy, a zatém spokojny i cichy patryotyzm, ale o ową niewieścią czułostkowość, co się rozprasza w słowa, zbezwładnia duszę wielomostwem skarg i żalów, i wszelki hart traci w ciągłych przeskokach od zbyt porywczych nadziei do nie mniéj gwałtownych rozpaczy.

Nie brak nam przecież mężów, co swe uczucie narodowe umieją ubezpieczyć tą godnością i powagą, która najdzielniéj wyraża jego rzetelność i zapewnia mu często niewidoczny, ale tém trwalszy wpływ i możniejszą skuteczność. Tacy ludzie nie dają się zbić z raz obranego toru żadnym zaczepkom, żadnym posądzaniom. Nic ich nie zmusi do próżnych oświadczeń, nikt im nie wydrze z ust słowa, które, acz odpowiedne ich przekonaniom, pod naciskiem traciłoby całą wartość, a ubliżałoby ich godności, gdyby choć w najlżejszéj mierze zakrawało na obronę. Pilnują oni ściśle obowiązków swego stanu, trzymają się w zakresie możebności, nic dla pozoru nie czynią, owszém unikają wszelkiego rozgłosu. Cierpliwi, wierzą, że byle każdy sumiennie wykonywał swą powinność, wszystkie prace i usiłowania same się później w jedno złożą. Jednem słowem miłość ojczyzny u nich, jest jak wszelka prawdziwa miłość, według słów Pawła św. „przezorną, pokorną, nie miękką, nie płochą, wstrzemięźliwą, czystą, stałą, spokojną, a saméj siebie nigdy nie szuka.“

Ogólne te uwagi zakończymy krótkim zwrotem na nasze własne stanowisko. Nieszlachetnéj broni, o któréj była powyżéj mowa, użyto przeciw nam w ostatnich czasach aż do zbytku. Dla tego, żeśmy stanęli w obronie Kościoła i sformułowali warunki, których ta obrona dziś niezbędnie wymaga, a które każdy szczery katolik na jakiemkolwiek stanowisku, a im wyższém, tém gorliwiéj i wyraźniéj popierać powinien, zaprzeczono nam wszelkiego poczucia narodowego, co więcéj, starano się wmówić w wrażliwą publiczność, że to skryty zamach na narodowość. Podstępnym tym sposobem rozbito tumany przesądów i niechęci, aby rzeczywisty przedmiot sporu zasłonić i trwożliwe umysły zaniepokoić. Z razu twierdzono, że obrona Kościoła należy wyłącznie do duchowieństwa, i nie wchodzi w zakres tych spraw, które wszyscy rodacy, a mianowicie posłowie nasi na sejmach, popierać powinni. Teraz już przeciwnicy nasi łaskawie przyzwalają, że w narodowych „pragnieniach, żądaniach, i potrzebach mieści się i obrona Kościoła naszego.“ Zastrzegają się tylko przeciw temu, aby po nad innemi nie dominowała. Nie myślimy na teraz wchodzić o to w spór zasadniczy. W praktyce mogłoby się w końcu okazać, jak w bajce Krasickiego:

„I o to się kłócili przez lat kilkanaście,
Jan wołał: gaście ogień, Jędrzej: ogień gaście.“

Duchowieństwo z swego powołania musi stawiać wiarę i Kościół po nad wszystkiém inném, bo z tego Bożego źródła wszystko co wzniosłe i godziwe, bierze swój początek. Do nas téż należy występować w pierwszym rzędzie, gdy idzie o obronę praw Kościoła. Czyż przez to wkraczamy w sferę czysto polityczną, a nie wkraczając w nią i trzymając się jak najściśléj naszego specyalnego powołania, czyż możemy być posądzani o jakąkolwiek chęć panowania nad nią? A daléj, czyż taka troskliwa straż własnego obowiązku wymaga obojętności na wszystkie inne szlachetne sprawy, a co gorzéj oporu zacnym dążnościom? Szkoła, język, literatura, instytucye i tradycye narodowe, wszystko to jest nam porówno z wami drogiém. Zawsześmy gotowi dać w tém chętną pomoc, o ile zakres przepisany nam przez naszego Zwierzchnika dozwala. Dalecy od mięszania się w sprawy wyłącznie polityczne, cieszyć się jednak będziemy z równą radością, jeśli prawa naszéj narodowości przyznane od uszczerbku ustrzeżecie, a jeszcze więcéj, jeśli na drodze legalnéj zdołacie je rozszerzyć. Są przecież czasy, w których obrona jednych praw prześciga, jeśli nie w ważności, to w nagłości obronę drugich. Narodowość nasza nie jest dziś więcéj zagrożoną jak była przed rokiem. Kościół zaś i widoczna Głowa onego cierpi od roku prześladowanie i pognębienie, jakie nagłego ratunku wymaga. Nie dziw przeto, że gdy dawniéj sprawy polityczne zajmowały przedewszystkiém posłów naszych, dziś, według naszego przekonania, sprawa Kościoła winna być u nich na pierwszym względzie. Pierszorzędność ta, obecną chwilą nakazana, nie oznacza panowania, ani nie oddaje berła nad wszystkiém inném. Przystajecie już na pierwszorzędność. Zastrzegając się co do zasady, powiadamy: zgoda, byleście tak szczerze i gorliwie strzegli praw Kościoła, jak praw politycznych, a pierwszych bronili tak, jak Kościół je rozumie i określa.

Pierwszym zadatkiem téj szczerości będzie, jeśli przestaniecie wojować podejrzeniami i zaciemniać przedmiot wywoływaniem kwestyi, o które w tym razie całkim nie idzie, a w których, doskonale to sami wiecie, odmiennych przekonań być nie może. Ludziom pojedyńczym, nawet ciałom zbiorowym, wolno w obec podobnych podejrzeń, jak już wyżéj powiedzieliśmy, zamykać się w swéj godności i odpowiadać pogardą milczenia. Pismo publiczne, zniewolone do ciągłéj polemiki, nie ma téj swobody. Wykładaliśmy więc już nieraz niegodziwość téj taktyki posądzeń, i tu raz jeszcze z oburzeniem je odpychamy. Gdyby się ponowiły, nie zniżymy się już do podjęcia tak nędznych zarzutów. W najgorszym razie odwołamy się tylko do niniejszego objaśnienia. Polemika dopiero wtedy stanie się przyzwoitą i dla kraju korzystną, gdy żadne stronnictwo nie będzie zaprzeczało drugiemu poczucia narodowego, i gdy przedmiotem sporów naszych stanie się jedynie wybór środków dla osiągnięcia wspólnego nam wszystkim dobra.

Cudowne objawienie się Matki Bozkiéj we Francyi.

Dziennik *Décentralisation* donosi o następującém cudownem zdarzeniu:

W wsi Pont-Min, gminy Saint-Ellier, w kantonie Landivy, Departamentu Mayenne (blisko granicy Bretanii w Francyi, objawiła się Najświętsza Panna dnia 17. Stycznia roku bieżącego w sposób następujący:

Chłopczyk pewien jedenastoletni zajęty był tłuczeniem obroku dla swego konia, w towarzystwie ojca, w pewnym śpichrzu swéj wioski. Wyszedłszy ztamtąd około godziny 6 wieczorem, przyglądał się niebu, które zdawało mu się być bardzo piękne, gdy wtem naraz ze zdumieniem wielkiem i zadziwieniem zobaczył ponad domem Pana Lecoq niewiastę wysoką i piękną, odzianą w szatę niebieską posianą gwiazdkami, z zasłoną i koroną na głowie.

Chłopczyk woła zaraz na ojca, który przybiega, ale nic nie widząc, żartuje sobie z swego syna, i odsyła go do roboty. Ten jednakże ciekawością powodowany wraca na to miejsce, gdzie był spostrzegł Panią z trzewiczkami złotemi i koroną złotą, i z zachwyceniem widzi znów to samo zjawisko. Woła więc swą matkę, która równie jak jéj mąż, nic nie widzi, i łaje biednego chłopca, mówiąc, że mu się w głowie przewróciło.

Chłopiec tedy woła na swego brata dziewięcioletniego, aby prędko przyszedł do niego, i ten dopiero widzi dokładnie ów ob az w powietrzu, promieniejącéj piękności. Napróżno rodzice zdumieni wątpią jeszcze. Obaj chłopcy twierdząc stanowczo, iż mają Panią przed swemi oczyma, i obaj w równy sposób ją opisują

Wielki rozruch powstaje o wioszczynie; gromady ludu prędko się tworzą, i rosną coraz bardziéj naokoło chłopczyków opowiadających tak piękne rzeczy.

Dwie zakonnice nauczycielki, wychodząc ze szkółki, zadziwione tą gromadą ludzi, zbliżają się i wypytują, co takiego ich sprowadziło i wywołało takie wzruszenie? Słuchają z zachwyceniem opowiadania chłopczyków, ale same nadaremnie oczy wytężają w stronę gdzie było to objawienie; nic nie widzą.

Wróciwszy tedy do swego konwiktu, zakonnice, całe głęboko wzruszone, zachęcają trzy z swoich uczennic, ażeby poszły do owych chłopców i patrzały ponad dom P. Lecoq. Wybierają się więc czém prędzéj trzy dziewczątka, mające jedna 12, druga 9, ostatnia 8 i pół lat, i spieszą na miejsce niebiańskiego widzenia.

Zaledwo przybyły, najstarsza z nich zawołała: „To Matka Boska! O jaka piękna!"

„Jest tak wysoka, jak Siostra Witaliana," rzecze druga, dziewięcioletnia; i obie potém opisują zjawisko zupełnie tak, jak je opisywali chłopcy.

Wzruszenie i zdumienie ludzi wzrasta w miarę coraz dokładniejszego potwierdzania się zeznań dzieci, które tak przypadkowo zszedłszy się w tém miejscu, nie mogły być ani twórcami, ani wspólnikami oszukaństwa podobnego rodzaju.

Wypadek tedy nabrał znaczenia; posłano więc po ks. Proboszcza, starca czcigodnego, który przewodniczy téj parafii już od 47 lub 38 lat. Nie przywięzując wiele wagi do pierwszzch wiadomości, postanowił jednakże, i to słusznie, pójść zbadać całą rzecz, i osobiście sprawdzić, co mogło być prawdy w tych pogłoskach, i o ile uzasadnione było, co mu opowiadano.

Zaledwo przybył na miejsce, dzieci zawołały: „krzyż czerwony tworzy się na piersiach Matki Boskiéj!" — Tedy zacny ks. Proboszcz rzekł do swych parafian: „Dziatki moje, módlmy się, i odmówmy koronkę."

Podczas gdy odmawiano jedno *Zdrowaś Marya* po drugiem, gwiazdki mnożyły się na szacie Najświętszéj Panny, co wedle opowiadania dzieci wyglądało, jakoby mrowisko złocistych iskier.

Po skończeniu koronki, zaśpiewano *Magnificat*. Tedy rozwinęła się wielka bandera, długa na 10 metrów, a szeroka około 1 metra; naraz pokazał się pod banderą drążek złocony, a podczas kiedy śpiewano jednę po drugiéj zwrotkę téj pieśni Najświętszéj Panny, ukazał się następujący napis:

W jednym rządku: „*Mais priez mes enfants, Dieu vous exaucera en peu de temps!*" (t. j. Ale módlcie się, moje dziatki, Bóg was wkrótce wysłucha); za tém punkt złocisty, wielkości słońca, a pod nim drugi wiersz: „*Mon fils se laisse toucher*" (t. j. Mój Syn da się ubłagać); w końcu zaś wiersza gruba kreska czerwona. —

Podczas odmawiania koronki przyprowadzono jeszcze jedno dziecko sześcioletnie, które téż bardzo dobrze widziało to zjawisko. Co zaś za najniewątpliwszy posłużyć może dowód rzeczywistości cudu, to postawa i ruchy dziecięcia 18 miesięcy, które, gdy matka odwracała je w inną stronę, widoczne czyniło wysilenia, aby się obrócić napowrót ku temu wspaniałemu widowisku.

Po Magnificat zaśpiewano jeszcze *Inviolata* (Niepokalana), i wtedy Najświętsza Panna wzniosła trochę oczy, i uśmiechnęła się ku dziatkom.

Następnie zaintonowano *Salve Regina*, a Matka Bozka zbliżyła swe ręce jednę do drugiéj i trzymała je zamknięte tak, jak gdyby niosła chorągiew. I ukazał się na nich krzyż czerwony, a na nim figura Ukrzyżowanego jeszcze czerwieńsza, w miejscu zaś zwykłego napisu JNRI, głoskami długiemi na 10 centymetrów napisane było: *Jésus-Christ.*

Odmawiano jeszcze inne pieśni i Litanią. Wtedy utworzyła się naokoło Matki Boskiéj aureola niebieska, która ją całą otoczyła. Na wysokości stóp i ramion ukazały się w aureoli saméj cztery krótkie świece woskowe; potém zdawało się, jakoby gwiazdka jedna wyszła z pod stóp Najświętszéj Panny, po zapalała kolejno obie świece u stóp, i potém drugie dwie u ramion, i stanęła potém na koronie.

W końcu zdawało się, jakoby N. Panna zarzuciła na się z tyłu wielką białą zasłonę, którą się całkowicie okryła Nie było tedy nic widać, tylko szczyt korony, poczém wszystko znikło.

Ks. Doellinger

trwa wciąż w swym nieszczęsnym uporze. Jakże to smutna starość po tylu dniach sławy i mozolnéj pracy! Cała przeszłość jego zaćmiona, zaprzeczona. Dziś słynny historyk chce być herezyarchą, jest już nim, skoro zmusił Kościół do wykluczenia go z swego łona. Ks. Doellinger napisał obszerny wywód do Arcybiskupa Monachijskiego, domagając się, by mu dozwolono dysputować o zapadłym dogmacie nieomylności papiezkiéj. Chce, by go przekonano, że Kościół się nie omylił. Tego samego żądał Luter, tego żądali wszyscy herezyarchowie swojego czasu. Kto nakłoni twardą, uporną wolę, by się skłoniła ku temu, co umysł przyznaje? To zasada protestancka — a tu sprawa skończona — nieodwołalnie, na wieki. Ks. Doellinger wzywa *brachium saeculare* przeciw dogmatowi — to znowu naśladownictwo starych odszczepieńców. Arcybiskup Monachijski jeszcze raz go upomniał w liście swym pasterskim miłośnie i poważnie, by się zastanowił i na drogę prawdy wrócił. Nic nie pomogło — nastąpiła exkomunika. Ks. Doellinger zaręczał śmiało, że tysiące księży i wiernych w Niemczech nie przyjmują dogmatu — było

to złudzenie — najpiérw księża z Monachium, następnie zewsząd prostestują przeciw temu lekkomyślnemu zarzutowi. Agitacya przeciwna nieomylności Namiestnika Chrystusowego w Niemczech wszczyna się hałaśliwie: z Doellingerem łączy się nadętość profesorska Michelisów, Reinkensów, Flourencourtów itd. Król Bawarski, młody Ludwik II. entuzyazmuje się Kościołem przyszłości Doellingerowskim, jak się zachwycał muzyką przyszłości Wagnera. Będzie może wiele wrzawy, zgorszenia i upadków. Ale strumyki te deszczowe, burczące — znikną wnet w ziemi. Gałązkę jednę i drugą, lub liść na wpół zwiędły wicher apostazyi złamie, oderwie — konarów, a cóż dopiero pnia samego nie ruszy. Po za granicami Niemiec wstrząśnienie, jeśli jakie będzie, nie da się nawet uczuć. U nas *Gazeta toruńska* chciałaby sprawą Doelligenrowską zainteresować umysły. *Gazeta toruńska* ma skłonność do negacyi, do hyperkrytycznych pomysłów. Ufa zanadto sile logiki. Lubo na pozór chłodno, przedmiotowo zdaje sprawę, nie tajno, komu sprzyja. *Dziennik poznański* radby był wielce, gdyby Kościołowi przybyło nowego kłopotu — przecież razby już spełniła się jego wróżba: *Testament papieztwa* byłby usprawiedliwiony. *Dziennik* tak katolicki!

O wystąpieniu ks. Doellingera, znany z gruntownych i ważnych prac naukowych Msgr. Nardi, zamieścił w *Buon Senzo*, dzienniku rzymskim, następujący artykuł:

„Organa protestanckie i rewolucya włoska tryumfują z powodu protestacyi Döllingera. Nikt o tém wątpić nie mógł, że głos Papieża z 900 Biskupami, którzy dogmat o nieomylności najwyższéj Głowy Kościoła ogłosili i przyjęli, więcéj znaczy, niż głos profesora monachijskiego. Prawieby można marzyć przy tém o jakiejś rewizyi, o odwołaniu się, jako i o tém, że Kościół winien czekać na to, co mu profesor powie, czy wypada wierzyć orzeczonemu dogmatowi, lub nie. Nie chcemy używać słów cierpkich przeciwko sławnemu mężowi, który obecnie dla swego kraju i dla całego Kościoła smutny daje przykład, jaki wpływ wywiera miłość własna na ludzi uczonych — albo raczéj, jaśniéj się wyrażając, jak działa samolubstwo na nich. Wiedza może być niebezpieczną, tém niebezpieczniejszą jest wtedy, kiedy wprost występuje przeciwko Duchowi św. na co dowody każda karta historyi kościelnéj nam podaje. W 2. wieku wpadł w herezyą Quintus Septimus Tertullianus, największy i najodważniejszy apologeta chrześcijański, choć wpierw z wielką sławą i chlubą bronił Kościoła. W 3. wieku Origenes, dyamentowym nazwany, najsławniejszy z chrześcijańskich teologów i filozofów, mąż podziwienia godny co do swéj wiedzy i rozlicznych dzieł, który z odwagą znosił męki za wiarę, utonął w mrzonkach platońskich. Opierał się głosowi Kościoła i pozostawił po sobie smutne dziedzictwo niebezpiecznych błędów, które pozwalają nam powątpiewać o zbawieniu jego duszy. W 4. wieku ogłosił Sobór powszechny w Nicei formalnie dogmat o bóztwie Chrystusa; kilku nie zgodziło się na to, a Euzebijusz z Cezarei największy historyk Kościoła w pierwszych wiekach, występuje jako obrońca i zwolennik tych, którzy po ogłoszeniu dogmatu, Aryanami pozostali. Przykładów podobnych odstępstw podaje nam historya późniéj więcéj, powiększają się one z każdym wiekiem aż do naszych czasów, które wydały Lamennais'a i Gioberti'a, którzy najpierw Kościoła bronili, późniéj wiele mu szkodzili. Mimo to stoi Kościół jakoby słońce, na które brzemienne chmury uderzają i zniszczenie sieją, potém ustępują i znikają — postać jego zawsze ta sama.

Podajemy treść pisma Döllingera, które przesłał swemu Arcybiskupowi; spodziewamy się jednak, że ono nie było dokładne (niestety tak nie było), bo rzeczywiście podobne słowa nie mają żadnego sensu. „Doktryny (opiewa telegram), których następstwem było, że stare niemieckie państwo zniknęło z widowni politycznéj, gdyby się miały przyjąć w Niemczech, bezpośrednio wrzuciłyby zarodek słabości w nowopowstałe państwo niemieckie.“

Co to ma znaczyć? Bez wątpienia rozumie Döllinger przezto tutaj rzymskie doktryny ultramontańskie. I dla tych doktryn miało upaść państwo niemieckie? Trzeba rzeczywiście z wszelkim sądem, rozbrat uczynić, chcąc się na to zgodzić. Luter, jak to każdy o tém wie, rzucił nasienie wielkiego rozdziału państwowego w Niemczech, które przez niego na dwie części podzielone zostały — na południu zostali Habsburgowie i Wittelsbachy, pozostałe części zajęli pruscy, sascy i hescy książęta. Cesarz pozostał wprawdzie katolikiem, ale nie był niczem więcéj, jak tylko pozornym monarchą tego różnorodnego państwa, w którem więcéj musiał słuchać jak rozkazywać. Ostatni Cesarze jako też katoliccy książęta, odłączali się coraz bardziéj od Rzymu, i ani Józefa II. ani Biskupów-kurfirstów nie można posądzać o Romanism. Podzielone niegodnie państwo z monarchą na czele bez znaczenie, upadło za pierwszym ciosem zadanym nie przez Rzym, ktory przeciwko jego upadkowi protestował, ale przez rewolucyą francuzką.

Oprócz tego odrzuca Doellinger dogmat jako „katolik,“ jako „teolog“ jako „historyk,“ jako „obywatel państwa.“

Jako katolik, jest jego obowiązkiem poddać się ustawom Soboru powszechnego, jako teolog powinien czuć i poznać, kto jest bozką powagą w nauczającym kościele, jako historyk winien sobie przypomnieć, jak smutnie ci kończą, którzy Kościołowi się opierają, jako obywatel państwa nie powinien w swéj ojczyznie rzucać ziarna rozdziału.

Doelinger żąda zgromadzenia Episkopatu niemieckiego we Fuldzie, albo zgromadzenia niemieckich teologów w Monachium. Biskupi zgromadzili się we Fuldzie po Soborze, rozesłali ztamtąd list pasterski, w którym gorąco polecają i nakazują wiernym, aby byli uległymi ustawom Soboru; uroszczenie Doellingera, aby się raz jeszcze we Fuldzie zgromadzili w celu zbadania dowodzeń jego, jest nawet czémś więcéj, niż absurdum. Ale szczególniejszém byłoby jeszcze zgromadzenie teologów w Monachium. Kilku księży a może nawet świeckich mają przetrząsać dzieło Soborowe! Papież nawet nie mógłby do tego swéj ręki przyłożyć, tak samo nie mogliby tego uczynić Biskupi całego świata, a kilku profesorów miałoby być do tego uprawnionych?“

Ultramontanie i Dziennik poznański.

(Ciąg dalszy.)

Autor artykułu sięga w odleglejszą przeszłość Księztwa naszego, by rzecz jaśniéj przedstawić, i wykazuje smutny stan pod względem religijnym. Pisma owczesne i ludzie owcześni szerzyli jawną niewiarę. Późniéj nieco zebrał się zastęp ludzi rozumnych i poważnych, i ci dopiero obudzili życie religijne w Wielkopolsce.

Następnie mówi:

„Rok 1860 sparaliżował to tak szczęśliwie przez obóz katolicki inaugurowane działanie. Wystąpiła nowa idea, która błyskawicą świat obleciała i wstrząsnęła do gruntu narody i państwa, a polityce mocnych z wszystkiego korzystającéj nowe i wielkie odsłoniła obszary. Z idei narodowości, puszczonéj w obieg przez Napoleona III, mogła tylko korzystać polityka machiawelska, i rzeczywiście skorzystała; ale dla słabych i nieszczęśliwych wzniosła się tylko nowa pokusa do zaniechania twardéj pracy, nakazanéj z obowiązaniem religii i sumienia, i do rzucenia się w grę hazardowną, nakazującą z sumieniem rozbrat, a szansę wielkiej wygranéj w zręczności tylko politycznego manewrowania przedstawiającą. Ogólnik wzięto za ideę rzeczywiście żywotną i płodną, a w miejsce pełnego prawdy uczucia, w miejsce wzniosłéj cnoty podstawiono zimną myśl, wyległą w zimnéj głowie ukoronowanego karbonara. Narodowość wzięto za synonim sprawy narodowéj i zastąpiono nią miejsce patryotyzmu. Wiara w nieomylność chwałą dwóch zwycięzkich wojen jaśniejącego Cezara, wiara, jak zwykle u nas, więcéj sympatyami, lub co gorsza, parciem opinii niż rozumem, lub siłą religii nakazywana, ukazywała w idei narodowości wielkie dla narodu naszego rękojmie. Ani gwałty, spełniane przeciw samoistności małych państw na rzecz aglorematu nacyonalnego, ani krzycząca niesprawiedliwość i krzywda, wyrządzona najświętszym prawom Ojca chrześciaństwa; ani poruszone siłą téj saméj idei dążności panslawistyczne, zaliczane co dopiero do rzędu czczych mrzonek lub przesadzonych ambicyi; ani pretensye pangermanizmu ze sfery już prawie śmiesznéj tyrady burszów, powodzeniami Cavourowskiego panromanizmu i upadkiem Austryi do znaczenia pierwszorzędnéj politycznéj myśli podniesionéj, — nie zdołały rozgorączkowanych wyobraźni polskich do stanu trzeźwości zwrócić. Narodowość stała się hasłem wszystkich działań, palladium upadających nadziei, celem wszystkich usiłowań. Religia, która wobec patryotyzmu niemal na majestacie i

wdzięku zyskuje, wobec narodowości zeszła na podrzędny plan środków, na instrument demonstracyjny, na rodzaj sporządzonego potrzebą chwili ornatu politycznego, a wszelkie usiłowania około utrzymania jéj na stanowisku należytéj godności, przechrzczono mianem ultramontanizmu i jakoby jakąś najzjadliwszą herezyą sprzeczną z dogmatem ducha czasu, bezwzględnie potępiono. Ultramontanizm przecież, to nic innego wedle własnéj definicyi liberalizmu, posługującego się jeszcze ideą narodowości tak grubo skompromitowaną, jak tylko nauka, stawiająca religią i Kościół na pierwszym planie i usiłująca podporządkować sprawie Bożej samą ideę narodowości i narodowe dążności.

„Rok 62 i 63 jeszcze pogorszył ten nieszczęśliwy stan rzeczy. Nic nie mogło otworzyć oczu ludzi, którzy z tytułu samego towarzyskiego, a temci bardziéj publicznego stanowiska zdrowo patrzyć powinni byli na rzeczy. Nowe hasło o nowe przyprawiło nas ruiny i straty. Nerwowa uporczywość czepiła się najpoważniejszych umysłów, przeszła w pewną niewieścią drażliwość w narodowych publicystach, a wyzyskiwana więcéj niż kiedykolwiek przez dążności sekty, zwróciła się całą swą zaciętością przeciw katolikom, przezwanym ultramontanami i obstającym przy zasadzie, że religia bądź co bądź powinna być nie posługaczką, ale najwyższą regulatorką obywatelskich działań, i że jéj najwyższy cel wininien być także celem wszelkich uczciwych ziemskich usiłowań i dążności. Tu przecież znowu ultramontanizm nie już o herezyą antynarodową, ale o zbrodnię zdrady narodowéj został oskarżony.

„W takim stanie rzeczy, gdy sprawa się toczy między religią a doczesnemi kraju zabiegami, i gdy te sprawy w skutek manewrów nieprzyjacielskich, tak ostro przeciwko sobie stoją, jedno z dwojga nastąpic musi. Albo reprezentanci sprawy retligijnéj nie chcąc być zepchniętemi ze swych stanowisk, muszą trakować z ujmą téj sprawy i poddać się wszechwładztwu działaczów sprawy doczesnéj, i to ślepem posłuszeństwem; albo reprezentanci interesów kraju, choćby tylko przez szacunek dla religii, przez miłość dla Ojczyzny téj religii tyle zawdzięczającéj, wejśćby powinni z duchowieństwem w kompromis i uwzględnić nie wpływ nadzorczy, nie zwierzchnictwo lub władztwo ze strony duchownych, bo do tego nie ma nawet żadnego podobieństwa, ale słuszne żądanie, mające rzeczywiście nasamprzód na celu dobro religii i Kościoła, ale nierozerwalnie z tém dobrem dobro także samychże spraw doczesnych.

„Czy pierwsze mogłoby być z pożytkiem kraju? Nie pytam się już, czy mogłoby być z pożytkiem Kościoła? Czy wyszło na pożytek, tam gdzie się urzeczywistniło? Odpowiedź na to łatwa, ale smutna. Polityka nerwowa, uczuciowa, polityka demonstracyjna, która do tego doprowadziła, toć to polityka, która wyczerpała wszystkie siły narodowe, niezostawiwszy sobie nic a nic, choćby na podtrzymanie omdlałego po okropnych przejściach ducha.

....„Polityka nerwowa i niewieścia, w ujemném tego wyrażenia znaczeniu, może mieć przeciwko temu wiele do powiedzenia, aby jeszcze jakoś nadrabiać miną i umizgać się opinii, mało już podobno zresztą o te rzeczy dbającéj; ale choćby te miotania się i fanfaronady publicystyki dawno zwiędłéj w oryginale, nie wiem jaki jeszcze u nas robiły effekt, i pod osłoną bonmotów pięknych, czy nawet rozumnych pań, zdołały nawet entuzyazmować salony — to już nie przeszkodzi zdrowéj i rozumnéj części narodu, jak nie przeszkodzą lamentacye Drezdeńskie i grubiaństwa publicystyki radykalnéj lwowskiéj do powstania w działaniu Arcybiskupa i duchowieństwa Wielkopolskiego piękniejszéj jakiejś i szczęśliwszéj doli kraju.

Tu zaczyna się rzecz o *Dzienniku poznańskim:*

...Początek *Dziennika* przypada na epokę najciemniejszą w porozbiorowych dziejach Wielkopolski. Jakiekolwiek przeszedł on metamorfozy, pod względem swéj istoty i ducha został przecie zawsze, czem był od początku, gdy jeszcze nic nie reprezentował, i czem był, gdy się jawnie wyznawał organem najjaskrawszych czerwoności. Ludzie rzadko się pod tym względem odmieniają, ale dzienniki podobno nigdy. Katolicy poznańscy zrozumieli to już drogą experymentu, coby powinni byli a priori, to jest, że *Dziennik,* którego firma raz została z umysłu użytą przeciw katolickiemu Kościołowi, już się nigdy nie da w duchu tego Kościoła zreformować.

Po wszystkich pod tym względem usiłowaniach, *Diennik poznański* dochodzi do ostatecznego rozwinięcia swoich pierwotnych zarodów. Możnaby z góry napisać dalsze jego koleje i dać téj historyi tytuł: „Dalszy ciąg i dokończenie monopolizmu i tyranii, wywieranéj na obywatelstwo i na duchowieństwo przez organ agencyi kosmopolitycznéj rewolucyi w Wielkopolsce.“

Do nowych prób w tym rodzaju nowa też wielka nadarzyła się sposobność, nowa przybyła potrzeba. Wybory na sejm cesarstwa niemieckiego, (które dojrzało w pałacu jakby na to zbudowanym przez Ludwika XIV), stały się obecnie przedmiotem i celem najwyższéj zabiegliwości i działalności apostołów kosmopolityzmu rewolucyjnego. Poniosłszy on wielką klęskę nie tyle przez nieszczęścia Francyi, ile przez połamanie i potarganie chorągwi, na któréj dziewięć miesięcy temu z taką emfazą wypisano rok 1789, i przez niepowodzenia zleciałych z całego świata sępów rewolucyjnych na to, by doszarpać poranione ciało Francyi, chciałby sobie ów kosmopolityzm gdzieindziéj przynajmniéj nagrodzić, gdzieindziéj przynajmniéj dopilnować lepiéj zagrożonych swoich interesów. Sejm zjednoczonych Niemiec, wśród których katolicy znajdą piękne swoje miejsce, bardzo łatwo podnieść może sprawę restauracyi podeptanych zasad cywilizacyjnych i pogwałconych praw w imię zasady spełnionego faktu. Trzeba się więc na czas zawinąć, schwycić ster agitacyi wyborczych, aby niemi po swéj myśli kierować, aby w izbie znaléźć potrzebną większość, zdolną stawić czoło zamiarom katolików, oraz dążnościom wręcz sprzecznym z owemi, które w Reichsracie wiedeńskim z oraz większą klęską Kościoła i sumień katolickich wychodziły tak zwycięzko. Jeżeli na szali tych zwycięztw mogła była coś znaczyć postawa posłów Polski austryackiéj, jeżeli téj postawie tak różnéj od postawy Tyrolczyków, duch antykatolicki w Austryi tak wiele ma do zawdzięczenia, to dlaczegożby miał lekceważyć głosy posłów, mających wyjść z urny Wielkopolskiéj?

Postawa posłów polskich na sejmie pruskim, niech co chce będzie, nie mogłaby dać pod tym względem dostatecznych rękojmi. To też ni ztąd ni zowąd przeciw dotychczasowéj procedurze wyborczéj, *Dziennik poznański* z lubością otwiera pole dyskusyi i wysuwa niepraktykowaną przedtem kwestyę osób kandydatów.

„Dotychczas, powiada on, kwestya ta była monopolem, którego wątpliwemi korzyściami dzielił się komitet centralny z komitetami i delegacyami powiatowemi.“ (Nr. 17 korespond. z miasta z 17 stycznia.)

Taką agitacyę podniósł *Dziennik,* który duchowieństwo skarży o wyłamywanie zię z pod praw dotychczasowego regulaminu, a jak to jest oczywiste z przytoczonego wyrażenia, podnosi ją dla zapewnienia niewątpliwych korzyści komitetowi centralnemu, ale nie temu, który dotychczas dzielił się korzyściami wątpliwemi z komitetami powiatowemi.

Tak już pisał 17 stycznia, kiedy o deklaracyi duchowieństwa podnoszącéj nie kwestyę osób, ale kwestyą zasad religijnych, nie było jeszcze ani mowy.

Ale co tam 17 stycznia! Rzecz była dużo wcześniéj pomyślana! Kiedy *Dziennik poznański* taki rozgłos dawał protestacyom, potępiającym wystąpienie arcybiskupa za sprawą papieża, wówczas to, albo jeszcze wcześniéj przygotowywała się nowa redakcya, nie z nowym wprawdzie programem co do rzeczy, ale z nowym co do sposobów. I redakcya i program i szef redakcyi, wszystko to dojrzewało pod kierunkiem wielkiego sprzymierzeńca i protektora *Dziennika,* który od trzech lat postawił sobie zadanie życia, denuncyować bez ustanku zabiegi ultramontańskie, szczuć na Stolicę świętą i rekrutować przeciwko ultramontanom polskim w imię pokoju i miłości armię liberalnych katolików. *P. Dobrowolski,* obecny redaktor *Dziennika* był przez owego protektora, to jest przez dra *Omegę* miłościwie na szefa pasowany. Nieznany dotąd wcale na polu publicystyki (przynajmniéj polskiéj), wypłynął on nagle na rozbujałych fluktach różnych występów prelekcyjnych w towarzystwie przemysłowców w Dreznie, gdzie kwestya katolicyzmu równie prawie niefortunnie stała, jak w szpaltach *Tygodnia Drezdeńskiego.*

Na polu tych odczytów p. Dobr. kollegował z ks. dr. Respadkiem. Naturalnie, że to osobowość jego wielce miało podnosić, tém bardziéj, że prelekcye ks. dra R. były o miłości ojczyzny, o któréj prelegent miał powiedzieć (jak fejletom *Dziennika* przytacza), że chce i pragnie pożądliwie, aby ta miłość stanęła wyżéj nad samo sumienie. (Nr. 9).

Prelekcya ta (o któréj wolimy się dowiedzieć z wydania autora, mając nadzieję, że się będzie różnić od wydania fejletonowego), miała też jeszcze w szpaltach Dziennika wyrażać ideał kapłana w jego stosunku do ojczyzny, i zdaje się, że przez *Dziennik* wyrachowaną była nie tylko na to, „aby grać umiejętnie (jak miał grać zdaniem fejletonisty ks. Respądek) na najczulszéj strunie polskiego serca" lecz, aby znalazła swe echo w duchowieństwie obu dyecezyi wielkopolskich. W tym samym Nrze (9) wystąpił pierwszy artykuł o wyborach.

Ideałem dopołniającym ideał pełny kapłana-Polaka w praktycznem jego działaniu, p. Dobrowolski postawił w swoim znowu odczycie ks. Hugona Kołłątaja. Pomijamy różne atrybuty tego księdza-obywatela tendencyjnie zestawiane — a zaznaczamy tylko ten nad inne do rzeczy, iż Kołłątaj z rozmaitych powodów patryotycznych bywał w opozycyi z kapitułą i biskupem (NB. Sołtykiem); że dopiero wtenczas ów ideał czynnego kapłana rozwinął swoją działalność swobodnie, kiedy mu biskup przestał zawadzać „usunąwszy się w samotność (sic)"; a nakoniec, że choć go pewne stronnictwo zwało Jakobimem, Robespierem, był on jednak człowiekiem, który zbudował więcéj w swem życiu, aniżeli całe pokolenie owego stronnictwa (do którego liczył się także i Kajetan Sołtyk). *Sapienti sat.*

Tak zalecony p. Dobrowolski swoją działalnością w Dreźnie zjawia się nareszcie w Poznaniu i już jako rzeczywisty szef redakcyi wypowiada, że „pilnując spójni i jedności całego narodu, nie będzie zapominał o obowiązkach téj części naszego narodu, któréj jest organem"; że też: „wszystkie sprawy wewnętrzne, rozwój i potrzeby téj części znajdą w *Dzienniku* szczerze odbicie."

Gdyby duchowieństwo mogło było wziąć na seryo ten rodzaj deklaracyi *Dziennika*, byłoby sobie pewnie powiedziało: Boga dzięki, kiedy mu idzie o duchowną spójnię i jedność całego narodu, i o wszystkie sprawy i potrzeby téj części; toć mu zapewnie nie będą obcemi ani przeciwnemi nasze dążności i potrzeby, które my duchowni katoliccy téj części z obowiązku przedstawiamy i obsługujemy. Ale duchowieństwo dobrze o tém wiedziało, że w Dreznie, w biórach pana J. I. Kraszewskiego nie zaczerpuje się ów duch działania, jakim się rządził taki np. Tytus Działyński, który na bok odkładając swe osobiste sposoby widzenia, w wielkich czy małych rzeczach dotyczących „duchownéj jedności i potrzeb swego narodu," nie chciał w sprawie najwyższéj tę jedność i spójnię obchodzącéj mieć innego zdania, tylko to, o które się badał u Arcypasterza; który téż nie rozumiał, aby można było pilnować jedności i spójni duchowéj narodu, podkopując jedność i spójnię między wiernymi a kapłanami, między kapłanami a Arcybiskupem; który nakoniec nie sądził podobno, aby probierzem wartości zdania i postępowania najwyższéj w kraju duchownéj powagi, miała być zgodność z bieżącą opinią i ślepe posłuszeństwo powadze koła sejmowego oraz względom jakiejś w dogmat przemienionéj solidarności. Owszem, gdyby ów mądry patryota był dożył obecnéj chwili, tedy głuchy na insynuacye *Dziennika* nie były może siłą swego obywatelskiego wpływu dopuścił takiéj odezwy p. Henryka Szumana, dużo podobniejszéj do jakiegoś prowokatorskiego artykułu, niżeli do manifestu prezesa koła polskiego. Stary hr. Działyński, o ile nam pozwala wnosić wyrobiona o nim w całéj Polsce opinia, myślę, że byłby powiedział swoim kolegom: pozwólcie, niech o sposobie działania duchowieństwa ten stanowi, który ma do tego odpowiednie stanowisko i obowiązek i od którego, gdyby nasi kapłani jako obywatele mogli stać w niezawisłości, działanie ich stałoby się tylko źródłem nowego zamięszania i kłopotu kraju, a my sami nie moglibyśmy inaczéj jak tylko uczuciem obawy, nieufności i smutku na to ich działanie spoglądać.

Powiedziałem, że już 17 stycznia zapraszał *Dziennik* na pole dyskusyi w kwestyi osób kandydatów, jak sam powiada „przeciw dotychczasowéj procedurze wyborczéj." Procedura ta jednakże była zdaje się postanowiona także jakiémś prawem. Jakże pogodzić tę swobodę, któréj sobie pozwala *Dziennik*, z rygoryzmem, jakiego używa względem duchowieństwa, twierdząc, że takowe występując ze swą deklaracyą z 10 lutego, przeciw prawu popadło w zbrodnię rokoszu i zdradziło, czy tam ujawniło antynarodowe dążności. Dla czegoż więc p. Dobrowolski w korespondencyi od siebie napisanéj a do całego kraju adresowanéj, pole do takiéj dyskusyi otwiera? Ma na to *carte blanche* od jakiejś władzy? Czy też dla tego, że miał w zanadrzu kandydata, którego dotychczasowa procedura wyborcza nie przypuszczała? Nie wiem czy dla tego — ale kandydata w zanadrzu rzeczywiście miał i tym kandydatem był p. J. I. Kraszewski.

Ręka rękę umywa, noga nogę podpiera. Tutaj tylko robimy uwagę, że ani duchowieństwo w swym organie, ani korespondent poznański w „*Czasie*," jakkolwiek mieli bardzo wiele przeciw téj kandydaturze do powiedzenia, jednakże redaktorom *Dziennik* jeszcze nie zarzucali owych strasznych zbrodni, któremi p. Redaktor *en chef* całkiem świeży, z obywatelskich swych zasług zupełnie jeszcze nie znany, takim się sędzią surowym stawił przeciw duchowieństwu (inaczéj wprawdzie jak Hugo Kołłątaj), ale niezaprzeczenie dobrze już w kraju zasłużonemu. Może to być śmiałość uznania godna w pewnych sferach, ale właściwie ta śmiałość jest tylko zuchwalstwem agitatora.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Korespondent berliński Dziennika.

I *Dziennik* i jego korespondenci nie chcą na to pozwolić, abyśmy byli innego zdania, niż oni, i to nawet w sprawach kościelnych.

Jakżeż to jego nowy korespondnt z Berlina ironicznie nas chłoszcze za to, żeśmy śmieli bronić władzy doczesnéj, co jest świętym obowiązkiem nie tylko księży, ale wszystkich katolików!

Póki chodziło o wybory, nikt się nie wyrzekał pierwszego punktu deklaracyi kościańskiéj, owszem zewsząd wynurzano zdumienie, iż możemy powątpiewać o usposobieniach kandydatów względem Stolicy Apostolskiéj.

Dziś naraz wielka zmiana!

Patrzmy co pisze *Dziennik*:

Proszę Redakcyą, aby mi pozwoliła rozmówić się z Tygodnikiem Katolickim. Oh! kruciutką będzie moja rozmowa, chciałbym mianowicie wiedzieć, czy to może ta sama osoba, która wedle życzeń Tygodnika ma posłów naszych nauczać, jak mają bronić swéj wiary, doniosła Tygodnikowi jak Koło poselskie polskie zamierza swojéj św. wiary bronić; ja bowiem tego nie uczyniłem i pomimo, że tłustemi czcionkami Tygodnik drukuje wyjęty z méj korespondencyi ustęp, to chyba tylko jego „dobroduszni przyjaciele zgody" zgodzą się na tak fałszywe wywody.

Niegodziwie jest, korzystać z przypuszczeń czynionych przez jakiegokolwiekbądź korespondenta, by nakręcając zawartą myśl w tych przypuszczeniach, sadzić posłów naszych. A nawet mnie samego jakiemżeż prawem i na jakich podstawach zdaje się odsądzać Tygodnik od „katolickich uczuć?" Czyż wiara w potrzebę władzy świeckiéj dla utrzymania powagi Ojca świętego i panowania katolicyzmu nad ludzkością, jest dogmatem? Czyż katolikowi nie wolno swobodnie się przychylać ku liberalnym przekonaniom i widzieć w formie monarchicznéj tylko przejściowy państwowy ustrój wszelkich państw, nie życzyć zatem odbudowania tronu Papieży na téj krze, która z niesłychaną szybkością taje. Oh! ta zgoda quand même, o któréj Tygodnik Kat pisze, wygląda na wojnę, ze wszystkiem co nie chce Tygodnikowi ulegać. Ale jeszcze jedno: upraszam Tygodnik, ażeby mu czasem nie przyszła myśl pociągać mnie pod klątwę dotykających tych, którzy współdziałali w zwaleniu władzy świeckiéj Ojca św., a to po prostu dla tego, że co innego jest czynić gwałtem a nie chcieć czynić gwałtem nawet i dobrego. Wszak w Rzymie z rozkazu samego papieża gwałtowne odpieranie gwałtu zostało zaniechane, — choć może ku wielkiemu zgorszeniu uczuć katolickich Tygodnika.

Snać korespondent ma bardzo krótką pamięć. Sam powiedział wyraźnie, że większość koła jest przeciwną władzy doczesnéj, a teraz twierdzi, że czynimy „niegodziwe przypuszczenie." To trochę za szczególnie.

Co się tyczy jego samego, musimy mu oświadczyć, że choć władza świecka nie jest dogmatem, dziś w obec uroczystych oświadczeń Ojca św., że potrzebuje jéj koniecznie, aby módz niepodlegle kościołem zarządzać, i w obec ucisku, jakiego doznaje Stolica Apostolska, każdy katolik ma ścisły obowiązek bronić jéj i domagać się o jéj przywrócenie.

Jeżeli korespondent tego nie rozumie, żałujemy go mocno, a dodamy, że obecnie próbę katolickich uczuć stanowi, czy kto jest lub nie za władzą doczesną.

Korespondent twierdzi ciągle, że ta władza nie jest dogmatem, czego przecież nikt nie utrzymuje, więc powtarza słowa i hasła masoneryi. Dziennikarstwo dzisiejsze pracując nad ruiną papiestwa, wciąż woła, że się dogmatu nie czepia. Po co takie sofisterye w sprawie tyle ważnéj i tyle drogiéj dla uczuć katolickich? Korespondent zasłania się dystynkcyą, że to nie dogmat, a jakimże prawem tylu innych rzeczy broni doczesnych i mniéj ważnych, kiedy one nie są dogmatem? Chce

być *liberalnym* katolikiem, — a owo policzkuje Ojca św. i Biskupów, którzy się tyle razy i tak stanowczo oświadczyli — obdziera z téj szaty doczesnéj Ojca swojego — on liberalny katolik. Tak wszyscy powtarzacie, by czczość swego serca, brak przekonań istotnych i rzeczywistych uczuć katolickich pokryć frazesem. Jeszcze jedna uwaga. Korespondent otula się płaszczem tajemniczości (zwykle tak robią ludzie młodzi, którzyby radzi uchodzili za wielkie figury) — o kole polskim w Berlinie donosi tajemniczo wiele niesłychanie ważnych rzeczy, każe nam się przygotowywać na jakieś niespodzianki — czytelników utrzymuje w słodkich złudzeniach, niejednemu się zdaje, że Koło to może węcéj niż areopag ateński lub nawet Olymp. Co chwila wykrzykniki wydobywają się z jego piersi — on taki gorący, pełen fantazyi!

Reszty bałamuctw jego i nielogiczności nie warto wytykać!

Wizyty pasterskie.

I.

W sobotę 15. kwietnia wyjechał Najprzew. ks. Prymas z Poznania, aby odbyć dziewięć wizyt pasterskich. Wziął z sobą jak zwykle, księży: Koźmiana i Maryańskiego. Jechał na Swarzendz do Kostrzyna. Na granicy parafii kostrzyńskiéj napotkał konnych, którzy ruszyli przodem. Przed 10tą stanął w Kostrzynie i znalazł ulice przepełnione ludem. Na skręcie z rynku do kościoła czekało duchowieństwo, panienki w bieli, cechy ze światłem i chorągwiami i tłum znaczny ludu. Byli tam ks. dziekan Walterbach i ks. Wesołowski, wikaryusz miejscowy, księża proboszcze: Rychlicki, Dambek, Dydyński, Kiełczyński i Borys. Do wysiadającego z powozu ks. Arcypasterza przemówił ksiądz Dziekan i rozszerzył się nad wielkością łask, jakich sobie obiecuje z wizyty pasterskiéj. Odpowiedział mu obszernie Arcypasterz i wspomniał o serdecznych przyjęciach, jakie mu już po dwakroć zgotowało miasto Kostrzyn, gdy tędy przejeżdżał. Witał jeszcze potém dostojnego gościa burmistrz i usłyszał kilka uprzejmych wyrazów. Ruszyła potém procesya ze śpiewem do kościoła. Baldachim niosło czterech proboszczy. Między chorągwiami jaśniała piękna chorągiew bractwa trzeźwości. Przystęp do kościoła przystrojony był w świerki, na bramach i na kościele powiewały chorągwie. Śród licznych strzałów wstąpił Arcypasterz do świątyni Pańskiéj. Kościół w ostatnich czasach wybielony i wyrestaurowany, ze śliczném, o żylastém gotyckiém sklepieniu presbyterium, ze światłem na licznych ołtarzach pięknie się przedstawiał. Wizytacyjna uroczystość rozpoczęła się zwykłą koleją; po przywitaniu u wrót, błogosławieństwo od ołtarza, daléj przemowa z kazalnicy, daléj obwieszczenie i udzielenie zupełnego odpustu papiezkiego, daléj jeszcze kondukt żałobny, potém błogosławieństwo puszką, potém examem dziatek z jedynéj szkółki miejskiéj, która właśnie straciła była przed sześciu dniami jednego ze swoich dwóch nauczycieli, zasłużonego wielce i zdolnego. Dziatki bardzo dobrze odpowiadały; nieskąpił im też pochwały Arcypasterz i rozdał szczodrze katechizmy. Odprowadzony następnie procesyonalnie na probostwo, rozmawiał tam długą chwilę z księżmi, a potém przyjmował hr. Grudzińskiego z rodziną i hr. Tyszkiewicza z Siedlca.

Po południu było bierzmowanie i wybierzmował Arcypasterz 317 osób. Obejrzał następnie kościół i zakrystyę. Kostrzyn przez lat blisko sześćset należał do Klarysek gnieźnieńskich z daru błog. Jolanty, któréj portret zawieszony jest w kościele nad wejściem do zakrystyi i one były tutaj patronkami. Nad wieczorem przyjechali złożyć uszanowanie ks. Kurowski z Grodziszczka i ks. Sulikowski z Giecza. Wieczór miasto zajaśniało iluminacyą, a strzelanie trwało do późna.

16go w niedzielę Arcypasterz miał mszą o 8éj. Na téj mszy dziatki przystępowały do pierwszéj Komunii, a i wiele innych osób zbliżyło się do Stołu Pańskiego. Kościół był pełny. Po mszy miała miejsce sesya z dozorem kościelnym. Na Wielkim Nabożeństwie Arcypasterz asystował z tronu. Summę śpiewał ks. Wesołowski, kazanie z siłą i przejęciem powiedział ks. Ostrowicz z Uzarzewa. Przy końcu mszy Arcypasterz dał błogosławieństwo. Kościół natłoczony piękny przedstawiał widok. Oprócz ks. Ostrowicza przybyli także księża Fromholz i Rychlicki. Po obiedzie przyjechał z wizytą pan landrat ze Środy. Bierzmował potém Arcypasterz i wybierzmował 563 osób. W czasie bierzmowania marszałkowie z laskami i przepaskami utrzymywali wzorowy porządek. Oni i panienki w bieli szli za każdą razą po Arcypasterza i odprowadzali go. Nad wieczorem przybył złożyć uszanowanie hr. Józef Mielżyński z Iwna. Wieczorem znowu miasto oświecono i dzieci szkólne śpiewać przyszły. Dzieci te złożyły wieniec i wiersze, a Arcypasterz obdarzył je obrazkami.

Dnia 17 w poniedziałek kościół mimo niepogody rychło się napełnił. Na mszy swojéj Arcypasterz rozdawał Komunią św Gdy po mszy miał odchodzić, ks. dziekan przemówił i podziękował. Arcypasterz zwrócił następnie do ludu słowa napomnienia i zachęty, i wspomniawszy, że właśnie kościół obchodził wielkie pamiątki męki pańskiéj i Zmartwychwstania, wskazał na ogrom grzechów, które męką Chrystusową spowodowały, i na konieczność powstania ze złego ze Zmartwychwstającym Chrystusem. Odprowadzony procesyonalny na probostwo, odjechał Arcypasterz z Kostrzyna o $9^1/_2$. Mimo deszczu tłum otoczył powóz i panienki zarzuciły wnętrze karety bukietami. Wiozły Arcypasterza konie hr. Józefa Mielżyńskiego. Jazda włościańska poprzedzała aż do Siedlca, gdzie żegnając się, wykrzykiwała: „Niech żyje! Ks. dziekan Walterbach towarzyszył Arcypasterzowi jeszcze daléj, do Nekli. W Nekli dzieci szkólne licznie zebrane przed szkołą otrzymały w przejeździe błogosławieństwo. Jadąc szosą na Wrześnią przybył do Biechowa zaraz po 12. Słońce w téj chwili jasno świeciło. — Przyjęty przez dziekana miejscowego ks. Kasprowicza i przez ks. Rosta wikaryusza, na czele licznéj gromady wszedł do okazałego kościoła przybranego w zielone wieńce. Obrzędy kościelne i examin szkółki, który się bardzo dobrze udał, trwały dwie godziny. W końcu przemówił Arcypasterz do dziatek i rozdał katechizmy. Po obiedzie przyjechali złożyć uszanowanie księża proboszczowie Hubert z Grabowa i Perużyński z Kołaczkowa, ks. dziekan Śmiełowski i wikaryusz Janas z Wrześni. Bierzmował Arcypasterz koło 4. i wybierzmował 362 osób.

We wtorek 18. na mszy rozdawał arcypasterz komunią ludziom wiejskim. Odprowadzony na konsystorz dawniéj klasztorny przez braci z towarzystwa trzeźwości, przemówił do nich, aby ich do trwania w dobrych postanowieniach zachęcić. Była potém sessya z dozorem kościelnym, a przed południem nastąpiło obejrzenie kościoła i zakrystyi. Pamiątek po Filipinach, którzy lat 80 w Biechowie klasztor mieli bardzo tu mało. 2 księży przybyli ks. Hubert, i ks. Manicki z Barda. Po obiedzie oglądał Arcypasterz budynki gospodarskie. Później było bierzmowanie i wybierzmowanych zostało 82 osób.

— Ks. Al. Jełowicki, Przełożony Missyi w Paryżu, w przededniu oblężenia Paryża napisał list do Ojca św. załączając składkę 360 fr. od Polaków na Emigracyi. Na list ten otrzymał niedawno temu Brewe Ojca św. Dokumenta te podajemy jak następuje:

Do Jego Świątobliwości Piusa IX.

Ojcze Święty!

Masz oto być jak Daniel we lwim dole, i jak Piotr w Mamertyńskiem więzieniu. Ale wszyscy Wierni za Waszę Świątobliwość modlić się będą. A lwi lizać będą nogi Twoje i Anioł Piotrowy, który téż jest Aniołem Twoim, wyprowadzi Ciebie na wolność Twojego Apostolstwa, zawsze nieomylnego i wciąż rosnącego.

W onéj to godzinie próby, najdotkliwszéj Kościołowi, przychodzę, z uczuciem żywszéj wiary i gorliwszéj Miłości, rzucić się do nóg Waszéj Świątobliwości, w imieniu dobrych a mnie powierzonych katolików Polaków, zwłaszcza téż Wizytek Wileńskich, wyczekujących w Wersalu, na modlitwach i w pokucie, końca wygnania swojego.

My także wystawieni jesteśmy na niebezpieczności dzisiejszéj najszkodniejszéj wojny, która zatrząsła społecznością i Kościołowi jest groźną. A gdy dla ukrzepienia ufności naszéj w Bogu zwracamy oczy na Ciebie; gdy nie ustajem w modlitwie za Tobą, a w Tobie za cały Kościół święty; błagamy Cię, Ojcze św., abyś nas pobłogosławił Błogosławieństwem Apostolskiem, ściągającem z Niebios na dusze nasze łaskę dobrego żywota i dobréj śmierci.

Waszéj Świątobliwości najprzywiązańszy i najposłuszniejszy Syn i Sługa w Jezusie Chrystusie.

Ksiądz Alexander Jełowicki, Zakonu Zmartwychwstańców, Missionarz Apostolski, Przełożony Missyi Polskiéj w Paryżu.

Paryż 12, rue Duphot, 16 Września 1870.

Przy tém składa się najpokorniéj 360 fr. na Święto-pietrze.

Odpowiedź Ojca św. jest taka:

Dilecto Filio, Presbytero Alexandro Jelowicki, Praeposito Missionis Polonicae.

Pius. PP. IX.

Dilecte Fili Salutem et Apostolicam Benedictionem. Luculentum signum filialis pietatis et amoris Nobis exhibuerunt tuae litterae die 16 elapsi Septembris datae, quibus dum Nos vides gravibus conflictari aerumnis et in impiorum potestatem redactos, majori studio, fide, ac devotione erga Nos et Ecclesiam Sanctam te commoveri significas ac piis et opportunis tum precum tum caritatis subsidiis Nostram et Ecclesiae Dei causam adjuvare contendis. Quae officia cordi Nostro gratissima, gratiora etiam extiterunt, quod filialem pietatem Nobis exhibeant illorum etiam tuae nationis Fidelium, qui tibi sunt commendati, ac Religiosarum Sororum Vilnensium a Visitatione, quorum omnium nomine illa Nobis obtulisti eximiam istam tuam et omnium quorum Nobis scripsisti nomine pietatem ac studium. Dilecte Fili, praecipuo caritatis Nostrae gratique animi affectu complectimur, ac dum minime dubitamus, te una cum ipsis in omni humilitate et fiducia non intermissurum Divinam tam necessario tempore Clementiam a qua unice a tantis malis eripi confidimus, obsecrare, ab Ipsa Nos vicissim suppliciter poscimus, ut debita caritati tuae eorumque quos commemorasti praemia largiatur, utque Vos in fidei amore et in omni opere bono confortans, sua misericordia et benignitate consoletur. Caelestium demum omnium munerum auspicem et paternae Nostrae benevolentiae pignus accipe, Dilecte Fili, Apostolicam Benedictionem, quam tibi ipsi ac omnibus iisdem, pro quibus postulasti, peramanter impertimus.

Datum Romae apud S Petrum die 15 Octobris Anno 1870. Pontificatus Nostri Anno Vicesimoquinto.

Pius. PP. IX.

Ukochanemu Synowi, Księdzu Aleksandrowi Jełowickiemu, Przełożonemu Missyi Polskiéj w Paryżu.

Pius. PP. IX.

Ukochany Synu, Pozdrowienie i Apostolskie Błogosławieństwo. Piękną oznakę synowskiéj cześci i miłości przedstawił Nam list twój z 15. przeszłego Września; w tym albowiem liście, gdy widzisz Nas uciskami dręczonych i w moc bezbożnikom podanych, tém żywsze wiary i poświęcenia względem Nas i Kościoła św. wyrażasz uczucia, i pobożną a potrzebną już to ofiarą już to modlitwą, Naszą i Kościoła Bożego sprawę wspierać usiłujesz. Które to posługi sercu Naszemu przemiłe, tém się milszemi Nam stały, iż dowiodły oraz synowskiego względem Nas uczucia, i Wiernych z twojego narodu tobie zwierzonych, i Zakonnych Sióstr Wizytek Wileńskich, w których wszystkich imieniu złożyłeś to Nam onę twoję i tych wszystkich, w których imieniu do Nas napisałeś, osobliwszą miłość i troskliwość, Ukochany Synu, szczególniejszem téż miłości i wdzięczności Naszéj uczuciem przyjmujemy; a gdy zgoła nie wątpimy, że ze wszelką pokorą i ufnością nie ustaniesz w tak potrzebnym czasie wołać wraz z niemi o Łaskawość Bożą, od któréj jedynie spodziewamy się wyzwolenia z tych tak wielkich nieszczęść. My też wzajemnie u Niejże najuniżeniéj błagamy, ażeby twoją i tych o których wspominałeś, miłość, nagrodą należną udarować raczyła, i ażeby was w wierze i miłości i każdym uczynku dobrym umacniając, miłosierdziem téż i dobrotliwością swoją pocieszała. W końcu, na wróżbę wszystkich darów Niebieskich, i na ojcowskiéj Naszéj życzliwości świadectwo, przyjmij, Ukochany Synu, dla siebie i dla tych wszystkich, dla których o to prosiłeś, Apostolskie Błogosławieństwo, którego Wam najmiłośniéj udzielamy.

Dan w Rzymie u św. Piotra 14 Października Roku 1870. Papieztwa Naszego Roku Dwudziestego Piątego.

Pius. PP. IX.

— Na czele 3 num. *Dzien. urzęd. kościel.* znajdujemy następujący list Ojca św. do naszego ks. Prymasa:

Pius PP. IX.

Venerabilis Frater, Salutem et Apostolicam Benedictionem. Iis epistola tua scatet amoris ac devotionis sensibus, Venerabilis Frater, qui jucundissima Nobis faciant officia tua, ac indubie testentur, quam indigne feras injuriam hujus Apostolicae Sedis, et quam ardenter eam a Nobis propulsari desideres. Preces vero, quas idcirco cum populo tuo adhibere testaris ad Deum, et subsidia, quae inopiae Nostrae confertis, rursum ostendunt, vos contendere pro viribus id assequi quod optatis et quod amantissime tu Nobis ominaris. Quae sane omnia cum asserant, eandem esse studia Pastoris et gregis, unamque esse mentem utrisque cum ceteris fidelibus, et eandem cum hoc unitatis centro conjunctionem, adeo Nos erigunt ac solantur, ut perspicua ista splendidaque Ecclesiae unitate recreati, superabundemus gaudio in omni tribulatione Nostra, Deoque gratias agamus, quod e tenebris ita lucem educat. Excipe itaque, Venerabilis Frater, una cum Clero, et populo tuo grati animi Nostri significationes et vota, quibus tibi et ipsi largam coelestium munerum copiam adprecamur, unde et opportuna omnia subsidia vobis conferantur, et affatim augeantur incrementa frugum justitiae vestrae. Superni vero favoris auspicem esse cupimus Apostolicam Benedictionem, quam praecipuae benevolentiae Nostrae testem tibi, Venerabilis Frater, universaeque Dioecesi tuae peramanter impertimus.

Datum Romae apud S. Petrum die 6 Februarii Anno 1871. Pontificatus Nostri Anno vicesimoquinto.

Pius PP. IX.

Venerabili Fratri
Miecislao Archiepiscopo Primati
Gnesnensi et Posnaniensi.

Wiadomosci potoczne.

— *Dziennik poznański* zawsze jak najdziwaczniéj wystawia wszystko to co się dzieje we Włoszech, i choć się gniewa, kiedy mu dowodzimy, że stanowczo przeniósł się do obozu nieprzyjaciół kościoła katolickiego, wiadomości swoje czerpie tylko z pism jawnie Stolicy Apostolskiéj nieprzychylnych, jak *Presse* wiedeńska lub *Indépendance belge.* Oto znowu w Num. 87. *Dziennik* z widoczném zadowolnieniem przytacza artykuł z *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*, w którym Włochy otrzymują rozgrzeszenie za zabór wielkich klasztorów rzymskich, o czém donieśliśmy dawniéj. Następnie dodaje:

Nieprzyjemnie podobno uczuł się rząd włoski dotknięty pośpiechem z jakim pan Thiers zajął się obsadzeniem opóźnionéj francuzkiéj posady poselskiéj wRzymie, a to tém bardziéj ponieważ nowy poseł hr. Choiseul stanowczym jest zwolennikiem ultramontanizmu i przeciwnikiem jedności włoskiéj.

Więc pan Thiers powinien był posłać do Florencyi zwolennika jedności Włoskiéj, a przeciwnika Apostolskiéj Stolicy.

Niechęć ku Stolicy Apostolskiéj *Dziennika*, oraz demagogiczne usposobienie jego, objawiają się przy każdéj sposobności. Dziwić się tylko można niesłychanéj cierpliwości tylu katolickich czytelników. *Dziennik* systymatycznie milczy o wypadkach w Rzymie, t. j. o wielkich gwałtach, bezeceństwach, jakich się rząd włoski dopuszcza na Ojcu św. na kardynałach, na kościołach, na klasztorach, na obrzędach wiary naszéj itd. — ucieszyłby się niezawodnie, gdyby raz już rząd włoski radykalnie skończył z papieztwem! Zkąd inąd *Dziennik* ma serce nader tkliwe, gdy chodzi — o żydków. O zamięszaniu w Odesie, gdzie pospólstwo rzuciło się na żydów, *Dziennik* rozpisuje się széroko i płacze z boleści — gwałty rządu włoskiego serca jego wzruszyć niezdolne! Zdawałoby się, że redakcya *Dziennika* z samych Abrahamidów złożona.

Co do demagogicznego usposobieniania jego, widzimy najświeższy tego dowód w odmawianiu p. hr. Wł. Platerowi prawa protestowania w imieniu narodu polskiego z powodu udziału Polaków w bratobójczéj wojnie francuzkiéj. Ludzie uczciwi wypierają się spólnictwa z takim Dąbrowskim w Paryżu — *Dziennik* powiada, że p. hr. Plater nie ma do tego prawa. Czyż tylko p. redaktor Dobrowolski sam ma przywiléj przemawiania w imieniu całego narodu? P. Dąbrowski jest panslawistą czy nihilistą moskiewskim: może to więc uraża *Dziennik poznański* gdy się Polska spółki z nim wypiera.

— Pod napisem *Murawiewy Rzymskie* donosi *Osservatore Romano*, że zakonnicom klasztoru alla Vergini zagrożono, iż gdyby się nie wyniosły w przeciągu 48 godzin, wszystkie im rzeczy i ruchomości zabrane zostaną.

— Komuna paryska, którą *Dziennik poznański* brał niedawno w obronę, coraz się większych gwałtów dopuszcza. Nie dość, że zawyrokowała odłączenie państwa od Kościoła i konfiskatę posiadłości kościelnycb, nie dość, że wypędziła zakonnice z klasztorów i zabroniła nabożeństw katolickich w więzieniach, szpitalach, ale więzi księży, mianowicie księdza Arcybiskupa paryskiego, księdza Deguerry, Jezuitów itd. i pozwala na rabunki i zniszczenia. Zniszczono wewnątrz lub zrabowano kościoły Notre Dame, Magdaleny i Assomption, kaplicę i klasztorek Dominikanów, pałac arcybiskupi. Z kopuły Panteonu zdjęto krzyż a zatknięto w to miejsce czerwoną chorągiew. Cóż to za nieszczęśliwy kraj ta Francya i jak się ciągle sprawiedliwości Bożéj zadłuża.

— W korespondencyi z Poznania do *Unii* czytamy:

...Słówko tylko jeszcze o dwóch odczytach, mianych w lokalu Towarzystwa przemysłowego, a więc przeznaczonych dla szerszéj publiczności, o prelekcyi p. dr. Warnki: O wybiciu się na wolność Niederlandów, i p. Hieronima Feldmanowskiego: O Czechach. Obydwa te odczyty dawno już przebrzmiały, gdy wszakże nie zdarzyło mi się czytać w żadnem piśmie rzetelnego ich rozbioru — a same tylko ogólnikowe pochwały — nie mogę ich tu pominąć milczeniem.

Pan dr. Warnka, który się także uważa za znakomitego historyka, jak pan Ordon za wielkiego poetę — zawiódł niepospolicie każdego wykształconego słuchacza, powtarzając prawie dosłownie za Szyllerem, sfałszowaną przez tegoż i przez protestanckich historyków — historyą zamieszek Niderlandzkich. Licznie zebrana publika podziwiała naprzód głęboką erudycyą prelegenta, który z pamięci wyrecytował mnóstwo nazwisk, dat, opisów bitew, zaprawionych dowcipnemi spostrzeżeniami — a potém litowała się nad nieszczęśliwymi męczennikami, Holendrami, i ściskała kułaki na okropny rząd hiszpański, osławioną inkwizycyę, stosy i nieubłaganego Albę. Publiczność, jak mówię, bała bardzo zadowolona z efektownego odczytu, panie pono nawet płakały, a jedna najbardziéj nerwowa, zemdlała — a my od profesowa, od historyka spodziewaliśmy czegoś więcéj — sądzilibyśmy, że zamiast być jednostronnym i powtarzać za panią matką pacież, powinien był pójść za nowemi badaniami, a byłby się dowiedział o okrucieństwach Holendrów — byłby się przekonał, że ten jego ideał, książe Oranii, był po prostu awanturnikiem, który dla samolubnych widoków wszczynał krwawe boje — ale próżno mówić o tém z p Warnką, który sobie widocznie wziął za zadanie wystawić w jak najgorszém świetle wszystko, co katolickie.

Pan Feldmanowski do tegoż samego celu doszedł łatwiejszą jeszcze drogą — bo opowidziawszy krótko historye Czech i stanu przemysłu w tym kraju, rzucał najcięższe, a nieuzasadnione zgoła obelgi na Jezuitów, kościół św., Papieża itd. Dość będzie przytoczyć jedno wyrażenie prelegenta, że: „Duchowieństwo katolickie było zawsze podłem narzędziem despotyzmu".

Słowa te rzucone w czasie agitacyj poznańskich liberałów przeciwko tak zwanym ultramontanom, nie padły na opokę, nastąpiły oklaski i brawa... I otóż jeden jeszcze dowód więcéj, jak u nas łatwo o popularność...

— Na jubileusz papiezki przybędzie do Rzymu deputacya młodzieży angielskiéj pod wodzą Vicehr. Campden syna hr. Gainsborough para Anglii. Spodziewana jest w téj saméj epoce deputacya irlandzka z lordem Granvil na czele.

— Wielka deputacya Angielska opuściła już miasto wieczne. Członkowie jéj mieli solenną audyencyą, na któréj odczytali adres i usłyszeli serdeczną z ust Ojca św. odpowiedź, oprócz tego po dwakroć z rąk Ojca św. przyjmowali Komunią św. W Wielki Czwartek komunikowali u Jezuitów w celi św. Ignacego, dla zadosyć uczynienia ze swojéj strony za potwarze i obelgi miotane na towarzystwo Jezusowe.

— W rocznicę 23 kwietnia, kiedy się obchodzi pamiątkę powrotu Piusa IX. do Rzymu i cudownego ratunku u św. Agnieszki, panie rzymskie mają ofiarować Ojcu św. dywan, a cudzoziemki, którym przewodniczy księżna Solms-Braunfels, baldakim.

— Wielki Tydzień w Rzymie obfitował w zgorszenia. Teatra były otwarte, radykaliści wyprawiali sobie uczty (w Wielki Piątek była uczta mięsna na placu Barberini), a w Wielką Środę pochowano publicznie bez księży i wedle obrządków Wolnomularstwa, zwłoki dawnego wychodźcy Macieja Montecchi. Za trumną zmarłego postępowali assessorowie municypalności, i sławna aktorka Ristori.

— Opowiadają, że książę Humbert miał wyrzec w tych ostatnich czasach następujące wyrazy:

„Ci książęta rzymscy i kardynałowie niechcą się do nas zbliżyć. Niedługo przyjdzie czas, że będziemy daleko i wtedy będą pragnęli znajdować się blizko nas." Dzienniki upatrują w tém groźbę wydania Watykanu na łup rewolucyi.

— Ksiądz Loyson dawniejszy O. Hyacynt przyjechał zuchwale do Rzymu, gdzie mu książę Gaetani, nieprzyjaciel Ojca św., gościnności użycza.

— Nieraz słyszeliśmy zdanie, że *Żyd z Werony* Ojca Bresciani grzeszy przesadą. Kto się bacznie przygląda temu, co się obecnie dzieje we Włoszech, ten musi uznać, że O. Bresciani miał słuszność.

— Radykaliści pizańscy wezwali braci swoich z innych miast włoskich, aby „dla wykorzenienia przesądów" w Wielki Piątek urządzili bankiety mięsne, tak jak niegdyś urządzali je w Paryżu literat Saint-Beuve i książę Napoleon. W niektórych miejscach, w Rzymie mianowicie, projekt ten przyjęto. Ze swojéj strony biskupi i ludzie pobożni protestują i wzywają, aby w dzień ten jak najliczniéj drogę krzyżową na przebłaganie gniewu Bożego odprawić. Pod protestacyą medyolańską wyczytaliśmy nazwisko historyka Cezarego Cantu.

— Trzeci to raz w ciągu długiego panowania Piusa IX. Rzym pozbawiony jest uroczystości Wielkanocnych u ś. Piotra. W r. 1849 Ojciec św. znajdował się na Wielkanoc w Gaecie, a w Rzymie rządził Mazzini. W roku następnym 1850 papież był w Portici i czekał aż dyplomacya przestanie utrudniać jego powrotu do Rzymu, dokąd rzeczywiście wkrótce potém pospieszył. Przypominając to, pisze *Unita Cattolica* (Nr. 80): „Obecnie Pius IX. „w cichości i ukryciu odprawia Nabożeństwo Wielkotygodniowe, „bo otacza go tłuszcza uzbrojona w miecze i kije *cum gladiis* „*et fustibus*, a monarchowie katoliccy śpią. Pius IX. może po„wiedzieć do tych książąt z Boskim mistrzem swoim: *dormite* „*jam et requiescite, ecce appropinquavit hora*. Moja godzina na„deszła, wasza jutro przyjdzie."

— Przed niedawnym czasem zawiązało się w Londynie stowarzyszenie katolickie pod nazwą *the Catholic Union of Great Britania*, „aby starać się o przywrócenie Ojcu św. praw monarszych do państwa kościelnego i bronić spraw katolickich." Przewodniczącym w Stowarzyszeniu jest młody książe Norfolk dziedziczny Wielki Marszałek, głowa starożytnéj rodziny Howard. Do rady należą Hrabia Dengbigh par Anglii, Lord Robert Montagu, (brat Księcia Manchester), Lord Petre, Master of Lovat, T. W, Allier, mąż naszéj Wielkopolanki Karol De La Barre Bodenheim, Karol Langdale, Major Trevor i J. E. Wallis. Między członkami znajdujemy nazwiska lorda Arnadell of Wardour, baroneta Jerzego Bowyer, wicehr. Campden, lorda Archibalda Dougls, pana Gullerton, podpółkownika Fraser, hrabiego Gainsborough, lorda Kerries, trzech lordów Kerr, lorda Lovat, lorda Karola Thynne, pana Wegg Prosser itd. Obecnie przybyła do Rzymu deputacya od stowarzyszenia, deputacya bardzo liczna, w któréj znajdują się książe Norfolk, hr. Denbigh, lord Robert Montagu, Vicehr. Campden, lord Herries, master of Herries, lord Arundell of Wardour, par Wielkiéj Brytanii, stryj księcia Norfolk, lord Henryk Kerr, lord aDouglas, pan Karól De La Barre Bodenheim itd. Deputacya złoży Ojcu św. adres i Świętopiotrze. Na wjeździe do Rzymu radykaliści wygwizdali członków deputacyi. Ojcowie w Rzymie otrzymali rozkaz, aby w kilku dniach usunęli w klasztorze, który im Filipini odbierają sławną bibliotekę swoją (biblioteca Vallicelliana). Biblioteka ta liczy 35000 dzieł. Założył ją św. Filip Neriusz. Bogata jest ta biblioteka w rękopisa greckie i łacińskie (Alkuina, Bedy) jak autografy kardynała Baroniusza Bosia, Pelestriny. Księża Filipini z trudnością znajdą pomieszczenie dla tych skarbów naukowych.

Nakładzca i Redaktor X. J Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu.
W komisie L. Streisandta w Grodzisku.